Wydział Czytelniczy
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

MĘŻCZYZNA MUSI SIĘ OŻENIĆ
Erskine Caldwell str. 6

ROMANTYCZNI REALIŚCI
Tadeusz Graba str. 3

str. 4-5 **Po prostu chorzy...**
Halina Chabros

NIESPODZIANKA
WYDANIE SPECJALNE
kur lubelski
str. 16

czas. 2552/1976/7

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 4 IV 1976 Nr 7 (597) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

REZERWY MYŚLENIA

ROZMOWA Z DYREKTOREM NACZELNYM FSC W LUBLINIE INŻ. HENRYKIEM PAWŁOWSKIM

Fot. K. Wierucki

REZERWY — słowo, które w ostatnich miesiącach zrobiło krajową karierę, nie tylko w przemówieniach i artykułach, ale głównie w praktycznym działaniu. Właśnie we wszystkich przedsiębiorstwach skończyły pracę komisje powołane do wykrywania wszelkich rezerw tkwiących w tych przedsiębiorstwach: finansowych, materiałowych, organizacyjnych, kadrowych, środków produkcji itd.

Zastanawiam się jednak, czy tu i ówdzie — a może wszędzie — nie warto by powołać komisji szukania rezerw myślenia. Nazwa nieco zaskakująca i, być może, jakiś zardzewiały technokrata nie umiałby określić jej zadań. Trudność jeszcze i w tym, że yników pracy tych komisji nie dałoby się przynajmniej bardzo często — przeliczyć ani na złotówki, ani na kilogramy. Ale to tak jak z informatyką: zysków też nie da się często obliczyć, chociaż wszyscy wiedzą, że korzyści są ewidentne.

Dokończenie na str. 4—5

W akademiku za... firanką

Bożena Siedlecka

EWA mieszka w akademiku położonym z dala od lubelskiego miasteczka uniwersyteckiego. W pokoju Ewy jest brudno. Nikt nie pamięta, kiedy ostatni raz było tu generalne sprzątanie. Czarny, utytłany dżemem i błotem parkiet dawno już przestał lśnić świeżością wycyklinowanej klepki. Jest ponuro. Zainstalowane pod sufitem dechy, które służą do podtrzymywania wiszących półek (jakby nie można było zwyczajnie przybić ich do ściany), zaciemniają pokój i tworzą w nim nastrój magazynu sklepowego. Jeden stolik, kilka krzeseł, cztery łóżka i szafa, w której nie można nic powiesić ani położyć, bo jest za niska i bez półek — to cały wystrój tego pokoju. Kretonowa firanka rozwieszona w poprzek pokoju dzieli go na dwie równe części. W pierwszej, bliżej drzwi, mieszkają dwie „nowe", w drugiej dziewczyny ze starszego roku studiów. Wchodzę do tej drugiej wydzielonej części. Na łóżku siedzi Krystyna — młoda, bardzo ładna dziewczyna. Zadaję jej banalne pytanie:

— Jak ci się mieszka w akademiku?

— Faj... nie...

Jest na dobrym rauszu.

Dokończenie na str. 8

MICKIEWICZ WŚRÓD BRACI CZECHÓW

Monika Warneńska

„MOJA" Praga, znajoma od wielu lat: Hradczany i dzwony Loretty, strome zbocza ogrodów hradczańskich, w których wiosną płomykami różowych kielichów rozkwitają zwisające bluszczowe pelargonie. „Moja" Praga: dom z dwoma złocistymi niedźwiadkami na Starym Mieście — miejsce narodzin Egona Erwina Kischa, „szalejącego reportera", niegdyś bożyszcza młodych dziennikarzy. Zabytkowa synagoga, miejsca związane ze słynną niegdyś legendą o Golemie.

Wesołe piwiarnie z gorącymi kiełbaskami i apetycznymi „knedliczkami"; rozmowy, pogwarki, którym zdaje się patronować szelmowski i kpiący zarazem uśmiech dobrego wojaka Szwejka.

Biją staromiejskie zegary. Na wieży ratuszowej ku zaciekawieniu i uciesze nie tylko turystów, lecz rodowitych prażan defilują figurki dwunastu apostołów, uruchamiane trybami ukrytego mechanizmu. Co z tej dawnej Pragi, która od wieków aż do naszych czasów przetrwała w nienaruszonym kształcie, mógł widzieć Adam Mickiewicz? Wieżę prochowni? Resztki fortyfikacji miejskich? Czy przyjaciele czescy opowiedzieli mu legendę o mistrzu Hanuszu, twórcy ratuszowego zegara, którego zazdrośni rajcowie ponoć kazali oślepić, żeby na zawsze odjąć mu chęć wykonania podobnych zegarowych arcydzieł?

Doskonale mogę sobie wyobrazić poetę w pobliżu Hradczan, na tle Wełtawy, na pnącej się po lekko spadzistym terenie ulicy Mala Strana, której malownicze, nieregularne dachy tworzą łamaną linię niezrównanej urody. W tych miejscach mógł być. I te zakątki Pragi przetrwały w dawnym, prawie nienaruszonym kształcie od pierwszego ćwierćwiecza ubiegłego stulecia. Ale narzuca się również mojej wyobraźni obraz nierzeczywisty, niemożliwy, jednakże bardzo sugestywny: Mickiewicz na Strahovie, w muzeum czeskiej literatury, pochylony nad czcigodnymi księgami, nad omszałymi pieczęciami, nad starodrukami, inkunabułami — nad zabytkami, z których przemawia przeszłość czeskiego piśmiennictwa. Poeta nasz nie mógł oczywiście widzieć tego muzeum, powstało ono bowiem w czasach nam współczesnych. Ale zainteresowanie Mickiewicza Czechami, ich językiem, ich krajem wywodzi się z literackich fascynacji i pasji, cechujących poetę.

Dokończenie na str. 8—9

w którym żyjemy

BEZ DESERU MOŻNA SIĘ OBYĆ...

PEWIEN profesor z japońskiego miasto Kyoto powiedział: „Kobiety są jak deser. Bez deseru można się w przedsiębiorstwie łatwo obyć..." To oświadczenie znajduje pełne potwierdzenie w praktyce życia codziennego. Można je streścić w jednym zdaniu: pracujący mężczyzna i zamężna kobieta należą do dwóch różnych światów, nie mających ze sobą nic wspólnego.

W Japonii kobiety nie piastują wyższych stanowisk. W całym kraju nie znajdzie się nawet dziesięciu kobiet, które kierowałyby jakimś wydziałem w dużym przedsiębiorstwie. W administracji centralnej na 300 tysięcy urzędniczek zaledwie jedna jest szefem wydziału!

Przedsiębiorstwo w Japonii jest miejscem, z którym człowiek wiąże się na całe życie. Zatrudnienie otrzymuje się drogą konkursu, a po zaliczeniu w poczet pracowników przechodzi się przez wszystkie szczeble służbowe — od najniższych do najwyższych. Zatrudnienie na całe życie, rozpoczynanie kariery od samego dołu, stopniowe awansowanie oznacza dla kobiet, że nie mogą one przerwać pracy chociażby na podchowanie dzieci w okresie ich wieku szkolnego. Jeśli to uczynią, nie uda im się wrócić do przedsiębiorstwa na to samo stanowisko. Matka, która się zwolniła z pracy dla wychowania dzieci, wdowa lub rozwiedziona praktycznie nie mają żadnej możliwości rozpoczęcia pracy ponownie.

Stąd kobiety często traktuje się w przedsiębiorstwie jako pracownice tymczasowe lub pomocnicze. Rzeczywiście z chwilą wyjścia za mąż i urodzenia pierwszego dziecka wiele spośród nich z własnej woli lub pod moralnym przymusem porzuca miejsce pracy.

A jak się wiedzie japońskiej kobiecie w małżeństwie? W zasadzie mąż przynosi jej w zamkniętej kopercie miesięczne wynagrodzenie. Ona jest ministrem finansów, do niej należy decyzja, jakie ma porobić zakupy.

Kiedy mąż idzie rano do pracy, żona wręcza mu pewną drobną sumę na śniadanie, papierosy gazetę i kawę. Jeśli chodzi o zaspokojenie innych potrzeb, mąż może ewent. liczyć na to, co zarobi w swym przedsiębiorstwie w czasie godzin nadliczbowych lub wygra na wyścigach czy loterii.

Za wychowanie dzieci odpowiada kobieta. Jeśli jest dostatecznie wykształcona, pomaga synom i córkom w przygotowaniach do egzaminów.

Żłobków w Japonii praktycznie nie ma, a zajęcia w szkole podstawowej kończą się wczesnym popołudniem. Dziecko, po które matka nie przyjdzie do szkoły, traktowane jest jako dziecko porzucone.

Całkowicie pogrążona w obowiązkach domowych, opiekuńczo-szkolnych lub osiedlowych, kobieta jest zupełnie odcięta od mężczyzn, a tym samym i od swojego męża. Wraca on późno, po pobycie w barach z kolegami. Weekendy spędzają kobiety same z dziećmi, ponieważ ich mężowie albo grają w golfa, albo łowią ryby, albo też chodzą na wyścigi.

Nie ma mowy o spotkaniu się kobiety japońskiej z kolegami męża lub przyjaciółmi męża. Nie ma po prostu zwyczaju składania sobie małżeńskich wizyt. Kobiety i mężczyźni wychodzą osobno. Zdrada ze strony żony jest niemożliwa. W przeciwieństwie do tego mężczyzna może zdradzić żonę, chociaż by z jakąś koleżanką z pracy, ale to nie ma żadnego znaczenia dla legalnego związku małżeńskiego. Jeśli mężczyzna decyduje się na rozwód, żadne prawo nie może go zmusić do płacenia alimentów.

Ostatnio kobiety japońskie zaczynają coraz bardziej buntować się przeciw tym nierównościom. Na czele niewielkiej grupy „sufrażystek", które przybrały w tym kraju nazwę „Czerwonych panter", stoi młoda i przystojna pani Enoki. Metody „Czerwonych panter" są dość oryginalne. Gdy jakaś kobieta została porzucona przez męża, wpadają one do przedsiębiorstwa, które go zatrudnia, i robią tam taką wrzawę, że mąż ów musi im być posłuszny. W przeciwnym razie zostanie całkowicie ośmieszony w oczach kolegów, skompromitowany przed szefami. „Czerwone pantery" twierdzą, że w ub. roku udało im się załatwić pomyślnie 400 takich przypadków, a dalszych 1200 czeka na załatwienie.

DZISIEJSZY FRANKFURT NAD MENEM

CZYM jest dzisiejszy Frankfurt nad Menem? Zachodnioniemiecki tygodnik „Der Spiegel" twierdzi, że miasto to stało się zachodnioeuropejskim centrum handlarzy narkotyków, sutenerów i włamywaczy. Działają tutaj regularne mafie, stosując najbardziej bezwzględne metody.

Dlaczego Frankfurt tak „awansował"? Prokurator Wolfgang Heinrich tłumaczy to prosto. Mówi o położeniu geograficznym miasta, o jego rozlicznych połączeniach komunikacyjnych: krzyżują się tutaj linie kolejowe, autostrady, trasy linii lotniczych. Codziennie odlatuje stąd 300 samolotów i ląduje taka sama liczba. Nie ma przy tym dnia, by nie przylatywali i odlatywali członkowie świata przestępczego. Na życiu miasta wywarło swoje piętno stacjonowanie jednostek wojskowych USA. Jeszcze w okresie istnienia stref okupacyjnych w Niemczech powstał czarny rynek zaopatrywany w towary przez wojskowych amerykańskich. W czasie „cudu gospodarczego" w RFN przybysze zza Oceanu wzięli się za organizowanie dzielnic z podejrzanymi lokalami gastronomicznymi i lokalami publicznymi. Obecnie zaś wśród żołnierzy amerykańskich we Frankfurcie problemem społecznym nr 1 jest narkomania. Oni też stanowią 70 proc. odbiorców tych trucizn.

PRAWO JAZDY „PO FRANCUSKU"

FRANCUSKIE Zgromadzenie Narodowe ma wkrótce rozpatrzyć projekt nowej ustawy o prawach jazdy. Projekt zakłada, że każdy niekarany kierowca będzie miał na swoim „koncie" 18 punktów. Wykroczenia, rejestrowane przez policję drogową, będą rozpatrywane przez specjalne komisje, które na podstawie „cennika" ukarza kierowcę, odbierając mu pewną ilość punktów (niezależnie od tego będzie go można ukarać administracyjnie). Kiedy kierowca straci połowę punktów, otrzyma pierwsze „poważne ostrzeżenie". Kiedy pozostaną mu już tylko cztery punkty, będzie miał prawo się zrehabilitować, zdając egzamin przed odpowiednią komisją. W przypadku pomyślnego wyniku — otrzyma sześć punktów.

Jeśli zaś kierowca utraci wszystkie punkty, wówczas odbierze mu się prawo jazdy. Otrzyma je ponownie po kolejnym egzaminie, już o szerszym programie.

Projekt ustawy przewiduje też nagrody. Kierowca, który w ciągu trzech lat od ostatniego wykroczenia nie popełni żadnego nowego, otrzyma z powrotem zabrane punkty.

HAŁAS A SYSTEM NERWOWY

AGENCJA do spraw ochrony środowiska w USA stwierdza, że ponad 16 milionów obywateli amerykańskich traci częściowo słuch na skutek hałasu, zaś 40 milionów jest zagrożonych głuchotą. Rzecz znamienna: o ile tzw. hałas przemysłowy, spowodowany pracą maszyn w fabrykach, ulega pod wpływem różnych urządzeń wyciszeniu, o tyle hałas w miastach i osiedlach wzrasta. Wielkie samochody ciężarowe dają natężenie równe 100 decybelom, walce drogowe i inne maszyny „produkują" 110—120 decybeli. Oblicza się, że przy obecnym tempie hałas zwiększa się przeciętnie o 10 proc. rocznie.

Jeszcze do niedawna specjaliści przypuszczali, że nieodwracalne zmiany słuchu następują, jeśli człowiek żyje w hałaśliwym otoczeniu przez długi okres — 30—40 lat. Ostatnie badania wykazały jednak, że wystarczą dwa lata, spędzone w hałasie osiągającym 90 decybeli, by spowodować częściową głuchotę.

Szczególnie narażeni na głupotę są np. strzelcy i myśliwi. Spośród badanych 25 mężczyzn — myśliwych i artylerzystów — sześciu wykazywało oznaki permanentnego głuchnięcia.

Nie tylko jednak maszyny, pojazdy mechaniczne i wystrzały są niebezpieczne. Niebezpieczna bywa także i muzyka. W studio, gdzie bada się wysokiej klasy odbiorniki radiowe, magnetofony i adaptery, hałas osiąga natężenie 140—145 decybeli. Jest to dawka, którą wytrzymują tylko „najtwardsze uszy".

Wielu ludzi odczuwa hałas jako bardziej szkodliwy dla systemu nerwowego niż dla słuchu. Dźwięki o natężeniu powyżej 75 decybeli powodują szybsze bicie serca, skoki ciśnienia, pocenie się. Ludzie, którzy pracują w hałasie, są bardzo nerwowi, bardziej pobudliwi, agresywni, niż ludzie pracujący w spokoju i ciszy.

Najgroźniejszy dla systemu nerwowego jest hałas, który budzi w nocy ze snu. Człowiek ma przeciętnie pięć, sześć snów w ciągu jednej nocy. Jeśli jeden ze snów zostanie zakłócony przez samolot, syrenę, czy samochód ciężarowy, człowiek kompensuje to sobie następnymi snami, ale jeśli zdarza się to stale, może skończyć się to rozstrojem nerwowym, bowiem sen jest konieczny dla normalnego funkcjonowania organizmu ludzkiego.

Hałas jest tolerowany przez organizm dopóki jest rytmiczny i stały, dopóki nie zaskakuje i nie zabrzmi gwałtownie w ciszy. Oczywiście hałas o zbyt dużym natężeniu jest szkodliwy nawet, jeśli człowiek początkowo tego nie zauważa.

STO PONAD MILION

PRZED wiekiem było na świecie tylko pięć miast, które liczyły ponad milion mieszkańców, dzisiaj jest już ich prawie sto, co prowadzi do tego, że slumsy w miastach Trzeciego Świata rozrastają się w sposób przerażający.

W Rio de Janeiro milion ludzi wegetuje w slumsach śródmieścia, dwa miliony w tzw. „favelas" — w strefach wokółmiejskich. W Stambule 40 proc. siedzib wzniesiono nielegalnie. W Delhi znajduje się pięć wielkich, piętnaście średnich i 150 małych tzw. dzikich osiedli.

Chaty i szałasy wzniesione z bambusa, z glinianych cegieł, krowiego nawozu, kradzionego drewna, puszek blaszanych lub liści palmowych często grożą zawaleniem. Mieszkańcy żyją w ciągłym strachu z powodu nielegalnego osiedlenia, co tłumi w zarodku każdą inicjatywę.

Stan sanitarny „miast biedoty" jest zatrważający. Nieznośny fetor, wielkie śmietniska — raj dla małych dzieci i zwierząt, a także źródło groźnych chorób bakteriologicznych lub gruźlicy.

W większości dzielnic nędzy więcej niż połowa mieszkańców nie ma 20 lat, natomiast liczba mieszkańców zdolnych do pracy wynosi mniej niż 30 proc. Ale nawet dla tych 30 proc. najczęściej nie można znaleźć jakiegokolwiek zatrudnienia.

PRZEMOC I WANDALIZM

PRZEMOC i wandalizm w publicznych szkołach USA osiągają rozmiary epidemii i wydaje się, że nikt nie wie, jak temu zaradzić — to cytat z tygodnika „U. S. News World Report".

Tygodnik stwierdza, że niektóre systemy szkół zapełniają swe budynki urządzenia alarmowymi i strażnikami oraz zajmują twarde stanowisko w sprawach aresztowań uczniów i usuwania ich ze szkół. Inne — w poszukiwaniu bardziej długofalowych rozwiązań — domagają się zasadniczych przemian społecznych dla wykorzenienia przyczyn niesfornego postępowania młodzieży.

Na obszarach wielkich metropolii kraju, gdzie przestępczość w szkołach występuje najczęściej, próbuje się wszelkiego rodzaju środków zaradczych. Jednym z najskuteczniejszych w mieście Nowy Jork jest lotna ekipa złożona z piętnastu funkcjonariuszy bezpieczeństwa, która może zostać skierowana do każdej szkoły. Wypadki przestępstw i aktów przemocy zwiększyły się w szkołach nowojorskich w czasie ostatniej jesieni o ponad 50 proc.

Wykładowca szkoły średniej w Atlancie mówi: „Założę się, że gdyby zrewidowano każdego ucznia w mieście, to okazałoby się, że 60 proc. z nich ma przy sobie jakąś broń. Wiem, że nauczyciele przynoszą broń do szkoły — jednemu ukradziono nawet pistolet z samochodu. Gdy przechodzi się koło toalety, zawsze można wyczuć zapach marihuany".

Psychiatra, który zbadał przeszło 200 nauczycieli pracujących w szkołach Los Angeles stwierdził, że wielu z nich wykazuje oznaki wyczerpania walką, podobne do stanu wyczerpania u żołnierzy. Nauczyciele ci wykazywali szereg objawów stressu, takich, jak podwyższone ciśnienie krwi, niepokój, depresja, bóle głowy, obniżone poczucie wartości własnej, zaburzenia żołądkowe i niespokojny sen.

W kilku szkołach średnich tego miasta nauczyciele otrzymali do swej dyspozycji — celem osobistej ochrony — małe nadajniki radiowe. Mogą one być noszone na przegubie ręki, na szyi, w kieszeni lub torebce. Po włączeniu wysyłają sygnał alarmowy do ośrodka, grupującego funkcjonariuszy bezpieczeństwa.

W San Francisco napaści, wymuszanie oraz wandalizm są wśród uczniów zjawiskiem codziennym, o którym niewiele wspomina się nawet w prasie, jeśli nie są popełniane na ulicach. Prasa poświęciła jednak swą uwagę gangowi nastolatków, którzy wsiedli do tramwaju, zaczęli bić oraz rabować pasażerów. Takich gangów jest niezliczona ilość.

Badając rozmiary przestępczości w szkołach, jedna z podkomisji Senatu stwierdziła, iż w latach 1970—1973:

— zabójstwa mające związek ze szkołą wzrosły o 18 proc.,

— gwałty i usiłowania gwałtów — o 40 proc.

— rabunki — o 37 proc.

— napaści na uczniów — o 85 proc.

— napaści na nauczycieli — o 77 proc.

— wykroczenia mające związek z narkotykami i alkoholem na terenie szkoły — o 38 proc.

Obraz jest więc bardzo niewesoły. Żaden z dotychczas próbowanych środków zaradczych nie zahamował przestępczości w szkołach. Wprost przeciwnie — przestępczość wzrosła i rośnie nadal.

ROMANTYCZNI REALIŚCI

Tadeusz Graba

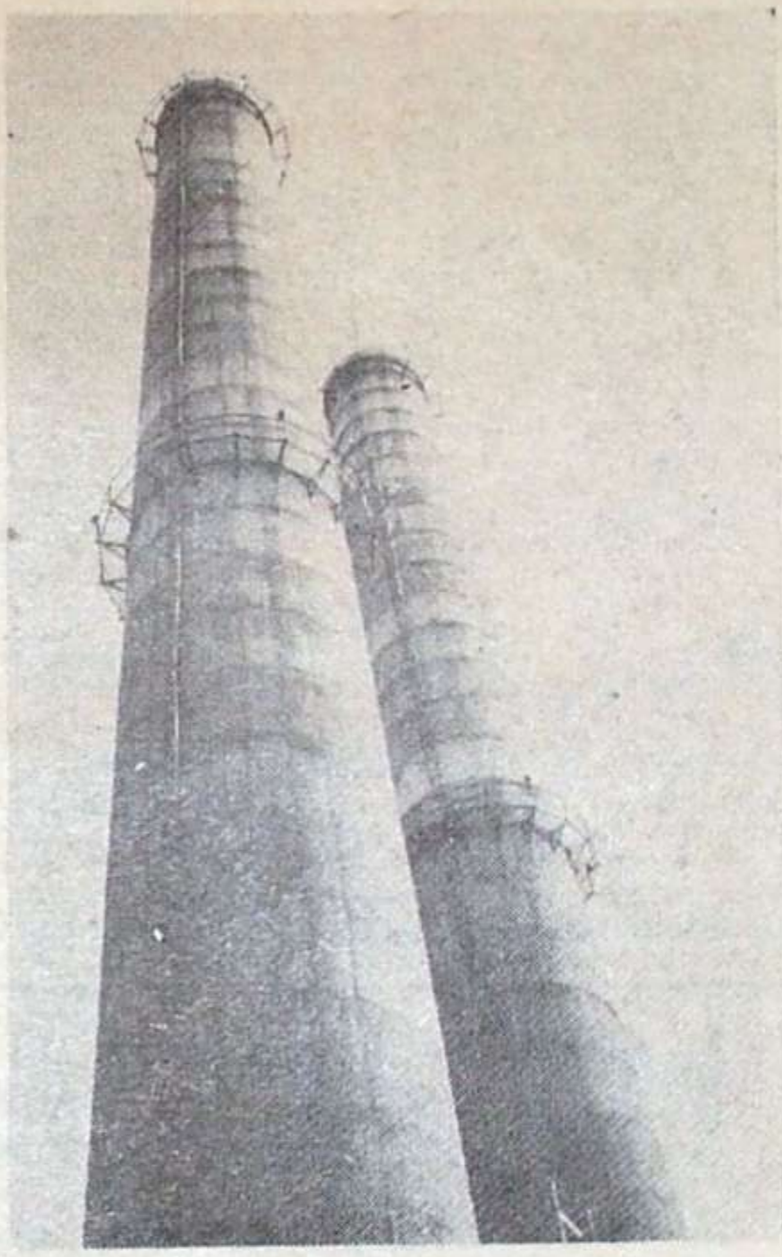

Fot. A. Polakowski

STANISŁAW Głownia ma trzydzieści lat. Jedną trzecią tego okresu przepracował w Kombinacie Cementowym „Chełm". W grudniu minionego roku Stanisław Głownia postanowił, że w pierwszym kwartale 1976 roku przez 200 dodatkowych godzin nie opuści wydziału elektrycznego, remontując maszyny i urządzenia energetyczne. Decyzję sformułował na piśmie i przesłał do Zarządu Kombinatu ZMS, której to organizacji jest członkiem. W odręcznym oświadczeniu znalazły się zdania, że tę całą dodatkową robotę Głownia ma zamiar wykonać dla uczczenia m. in. Kongresu Młodzieży Polskiej. Postanowił, ogłosił i stanął przy maszynie. Ale to było za duże zobowiązanie, znacznie, jak się okazało, przekraczające wyobraźnię i cierpliwość niektórych ludzi wydziału. „Te, drugi etat robisz?!" — trącano Głownię słowem ironicznym i podejrzliwym. „Nie dasz rady, co się szarpiesz" — komentowano z życzliwszych pozycji. „Po co ci to, życie w robocie chcesz spędzić?!..."

Ostatecznie Stanisław Głownia doprowadził przecież sprawę do końca, a nawet dalej, poza granice zakreślone zobowiązaniem — chyba także dzięki moralnej pomocy ZMS, który hamował co bardziej dowcipnych krytyków przedsięwzięcia, wyjaśniał itd. Doszło nawet do tego, że śladem inicjatora poszli inni pracownicy wydziału elektrycznego.

Jaki zatem morał z tej historii wynika? Czy taki, że jeśli ktoś bardzo chce i mocno wierzy w społeczny sens osobistej sprawy, postawi na swoim i zyska uznanie otoczenia? Z przypadku Stanisława Głowni taki właśnie, sympatycznie optymistyczny wniosek można chyba wyciągnąć, dopisując tym samym jeszcze jedno zdanie do powieści w rodzaju „Traktory zdobędą wiosnę" czy „Nr 16 produkuje". Ale te książki powstały w innych czasach a ich związek z ówczesną rzeczywistością miał często charakter sprzężenia prostego: w swej treści zawierały tezy, które należałoby dopiero wcielić w życie, w stosunki społeczne.

Tymczasem żyjemy w innych czasach, o odmiennym skomplikowaniu społecznym i gospodarczym, które bezwzględnie i na każdym kroku weryfikuje racjonalność i realność naszych przedsięwzięć i zamysłów. Szanując obywatelską i ideową postawę takich ludzi, jak Stanisław Głownia, skrupulatnie obliczamy efekty ich pracy: czy są ekonomiczne, sprawdzalne, rozwijające gospodarczo. Podstawowym kryterium oceny Polaka lat siedemdziesiątych jest jego stosunek do pracy. Ten sposób kwalifikacji obywatelskiej zaczyna coraz lepiej funkcjonować, więc narzuca się pytanie, dlaczego decyzja elektromontera z chełmskiego kombinatu wzbudziła początkowo rezerwę w jego środowisku. Odpowiedź wydaje się jedna: Głownia po prostu znokautował psychicznie kolegów wielkością swego zobowiązania. A w takim stanie chętniej przypisuje się sprawcy ciągoty do automitologizacji niż realnie ocenia rezultaty ekonomiczne jego decyzji i specyficzny kontekst polityczny, który zachęcił aktywistę organizacji ideologicznej do podjęcia trudnej roboty, pochłaniającej czas prywatny. W przekonaniu niektórych Stanisław Głownia jakby za wysoko ustawił poprzeczkę, więc można by zastanowić się nad celowością takich gestów, irytujących nieco otoczenie. No tak, można by, gdyby przeciętne cele indywidualnego działania, indywidualnej roboty stały na odpowiednio wysokim poziomie, proporcjonalnym do wysiłku gospodarczego, który podjęliśmy i który musimy rozwijać — aby nie znaleźć się na aucie międzynarodowej konkurencji. A tak jeszcze nie jest i „prowokacje" podobne do tej, jaką zafundował środowisku trzydziestoletni elektromonter, są po prostu potrzebne. Jako wzór moralno-obywatelskiej postawy, ale także jako element sprawności gospodarczej.

Kombinat Cementowy „Chełm": trzy cementownie, dwa duże zakłady specjalistyczne i szkoła przyzakładowa. 3400 osób załogi, z czego aż 80 proc. dojeżdża z okolicznych wsi, podczas gdy kombinat pracuje w ruchu ciągłym, przez całą dobę, co musi powodować określone trudności produkcyjne, związane m. in. ze znanym problemem chłopów robotników, ujawniające się z reguły na wydziałach zatrudniających pracowników o niskich kwalifikacjach, lub w ogóle bez jakiegokolwiek przygotowania zawodowego. Zawsze brakuje ludzi w pakowni, gdzie wszystko robi się ręcznie, w pyle, w labiryncie wąwozów utworzonych przez sterty papierowych worków z Krapkowic i Świecia nad Wisłą. Często brakuje ludzi do prac porządkowych, gospodarczych, do drobnych remontów, do postawienia budki dróżnika. Trudno powiedzieć, jak pracowałby ten wielki, bo dający niemal jedną czwartą krajowej produkcji cementu kombinat, znany z ekspresyjnych fotografii, przedstawiających z reguły monumentalne kominy „Chełma II" — gdyby nie organizacja Związku Młodzieży Socjalistycznej, aktywność społeczna jej członków. Oczywiście, to brzmi jak frazes ideologiczny, okolicznościowa „mowa trawa", ale co zrobić, jeśli opinia taka znajduje pokrycie w rzeczywistości?!

ZMS skupia ok. 600 osób, w tym niemal 180 dziewcząt. „Na ile można zawsze liczyć? — zastanawia się Witold Stafiński, przewodniczący Zarządu Kombinatu. — Na 200". Różowa statystyka nie interesuje, widać, przewodniczącego, który zresztą nie przypomina tzw. modelowego działacza młodzieżowego. Ma 27 lat, czarne długie włosy, nieźle podchowane wąsy. Pochodzi z Chełma, próbował studiów w filii UMCS w Rzeszowie (prawo), przerwał jednak naukę, co nie pozostawało bez związku z sytuacją rodzinną: ożenił się, żona kontynuuje studia, korzystając ze stypendium kombinatu. Będąc w Rzeszowie postanowił odwiedzić Irak. Nie mogąc znaleźć zmotoryzowanego mecenasa, kupił wraz z kolegą „syrenę 102", grata po dwunastoletniej eksploatacji, wyremontował wóz na podwórzu, wymalował na karoserii stosowne napisy, no i pojechał — z trojgiem kolegów. Miesiąc trwała ta wyprawa, która być może miała większe znaczenie poznawcze dla młodego człowieka, niż to się zwykło wiązać z wojażowaniem turystycznym. Bo uczyć się warto nie tylko od aniołów... Pracę w dziale kadr i szkolenia kombinatu rozpoczął Stafiński 20 lutego 1974, a ZMS-owi przewodniczy od kwietnia minionego roku.

Na 200 można zawsze liczyć — w sytuacjach awaryjnych, wymagających natychmiastowej interwencji, bo jeśli chodzi o normalną robotę, to sprawa jest jasna. Nie tak dawno temu w pakowni znów powstały kłopoty z wysyłką worków z cementem, więc ZMS zorganizował coś w rodzaju brygady szturmowej, która przez półtora miesiąca ładowała „hutniczy" i „portlandzki" na samochody, bijąc przy okazji wszelkie rekordy sprawnej i szybkiej roboty. W połowie marca na rampę przy pakowni wtoczyło się nagle 19 wagonów z workami na cement, nagle, bo dostawy są nierytmiczne, co przy okazji zmusza do gromadzenia sporych zapasów tego opakowania. Jak trwoga, to do ZMS z wydziału transportu... W rezultacie 12 młodych ludzi przez pięć godzin wyładowywało worki — po godzinie 14, czyli po zakończeniu swojej etatowej pracy, w czynie społecznym. Udało się zlikwidować straty z tytułu „osiowego", które dziennie zbliżały się do sumy 35 tysięcy złotych.

„Jak udaje się skłonić ludzi, aby zrobili coś więcej i to społecznie? Zależy od podejścia, no a poza tym premiuje się ich później wycieczką, urządzeniem zabawy..." — odpowiada Eliasz Wołoszyn, dyspozytor z wydziału transportu, który na dobę przyjmuje i wyprawia kilkaset wagonów. Chełmianin, ma 28 lat, kończy właśnie przyzakładowe technikum wieczorowe, jest wiceprzewodniczącym Zarządu Kombinatu ZMS do spraw propagandy i pracy kulturalnej. Pracuje w transporcie, ale jednocześnie buduje z członkami Koła ZMS budkę dla dróżnika, za którą wezmą od kombinatu 24 tysiące złotych. Jakim cudem?

Cudów nie ma, ale ZMS posiada własne konto w ramach tzw. Akcji Socjalnej Młodzieży, na którym gromadzi wpływy z prac zlecanych przez sam kombinat i inne przedsiębiorstwa państwowe oraz spółdzielcze. Młodzież pracuje społecznie, nikt grosza nie dostaje do ręki, cały zarobek lokuje się na wspomnianym koncie. Tym sposobem zarobili np. 36 tysięcy na czyszczeniu dachów cementowni, szorując je — oczywiście — po godzinach swej pracy etatowej. 40-tysięczny dochód przyniosło zaprojektowanie i wykonanie przez ZMS-owców z wydziału mechanicznego urządzenia dla spółdzielni „Postęp" w Chełmie. Na podstawie umowy z dyrekcją kombinatu Koło ZMS przy administracji zakłada pas zieleni wokół zakładu, pracując w niedziele... Środki gromadzone na koncie (obecnie 62 tysiące złotych) wykorzystuje się na dofinansowanie wycieczek, organizację imprez kulturalnych, zakup sprzętu fotograficznego i sportowego, odciążając tym sposobem moce finansowe Rady Zakładowej i działu socjalnego, co jednak jakoś nie trafia do świadomości pewnych osób. Niektórzy pytają zresztą, dlaczego tej całej roboty młodzież nie robi w ogóle za darmo, w czynach społecznych. Odpowiedź może być tylko jedna: bo 24 godziny na dobę pracować nie można, a fundusze Rady Zakładowej i działu socjalnego, z których mogłaby korzystać młodzież, są jakby przymknięte dla tego pokolenia (zapewne z konieczności). Przy tej okazji warto przecież przypomnieć, że młodzież kombinatu pracowała społecznie na rzecz zakładu i miasta przez 40 tysięcy godzin, w jednym tylko ubiegłym roku. Kilkaset godzin członkowie ZMS poświęcili na pracę w ramach akcji „Każdy kłos na wagę złota" i „Zbieramy plony jesieni". Nie zapominajmy też o ruchu racjonalizatorskim i o giełdach pomysłów, inicjowanych i prowadzonych przez ZMS.

Co charakteryzuje działalność ZMS w kombinacie chełmskim w sposób szczególny? Chyba unikanie werbalizmu, pretensjonalnych deklaracji bez pokrycia i realizm, który każe łączyć interes indywidualny z interesem publicznym. Dobrym tego przykładem może być rozwój młodzieżowego budownictwa patronackiego, zapoczątkowanego w 1973 roku. Już za kilka tygodni 56 młodych małżeństw wprowadzi się do mieszkań wzniesionych — po części — własnymi rękoma.

„Mam otrzymać M-3 — mówi Kazimiera Tomaszczyk, wiceprzewodnicząca Zarządu Kombinatu ZMS — które kosztuje 26 tysięcy. Z tej kwoty mąż musiał odpracować na budowie 8700 złotych. Więc mniej gotówki musieliśmy uzbierać, przede wszystkim jednak chodzi o to, że mieszkanie otrzymujemy szybciej, niż w normalnym trybie. W Chełmie czeka się na przydział 8—10 lat. Nie, ja sama nie pracowałam, mąż mnie wyręczył, ale dużo dziewcząt własnoręcznie wznosiło swoje mieszkania typu M-2".

Do budowy tych domów użyto cementu wyprodukowanego ponadplanowo przez młodzież kombinatu (w ub. roku około 23 tysięcy ton). W fundamentach pracowniczych domków jednorodzinnych znajduje się cegła szamotowa, uzyskana z remontowanych pieców obrotowych. Złom żelazny z zakładów kombinatu proponują przekazać na cele budownictwa wiejskiego, „bo przecież w województwie ma się rozwijać rolnictwo". Szukają możliwości wymiany złomu metali kolorowych na materiały, których sami nie posiadają...

Myślą, kombinują, pracują społecznie, szukają źródeł dochodów, podejmują wielkie i skromniejsze zobowiązania produkcyjne. Realiści?! Ludzie, którzy pojęli, że między sukcesem osobistym a pomyślnością całego państwa istnieje silny i wzajemny związek?! A może romantycy w rodzaju Stanisława Głowni?! Romantyczni realiści?

Kamena str. 3

Po prostu chorzy...

Halina Chabros

DLACZEGO w psychiatrii polskiej, zaliczanej na świecie do postępowych i przodujących w swym humanitaryzmie, nie ma do tej pory podstaw prawnych, regulujących cały kompleks problemów związanych z zaburzeniami życia psychicznego? Zadawałam to pytanie wielu wybitnym lekarzom-psychiatrom prawnikom i psychologom. Jedni uważają, że już od dawna istniała dysproporcja pomiędzy interesowaniem się psychiatrią jako tematem sensacyjnym, przy jednoczesnym traktowaniu jej jako problemu wstydliwego. Inni stwierdzali, że ciągle przeważało w naszym kraju przekonanie, iż zaburzenia psychiczne przy stałych postępach medycyny i farmakologii w ogóle zanikną. Po co zatem przygotowywać ustawę, choćby tylko regulującą sprawy leczenia pacjentów w szpitalach psychiatrycznych, jeżeli tych pacjentów ma być coraz mniej? Jeszcze inni reprezentowali pogląd, iż zbyt trudno w jednym akcie ustawodawczym uwzględnić stanowisko tradycyjnej szkoły, opowiadającej się za izolacją chorych od społeczeństwa, i nowej szkoły psychiatrycznej, która domaga się rozszerzenia form lecznictwa pół-zamkniętego i otwartego, by stworzyć chorym lepsze warunki dla odzyskania zdrowia w ściślejszym kontakcie z rodziną i społeczeństwem.

A jeśli dodać do tego jeszcze racje prawników, będących wyrazicielami interesów chorego jako pełnoprawnego obywatela, którego — z wyjątkiem przypadków drastycznych, zagrażających życiu i zdrowiu jego bądź otoczenia — nie można pozbawić konstytucyjnych swobód obywatelskich łatwo zrozumieć, że podejmowane niemal od pół wieku dyskusje kończyły się fiaskiem. Opracowano wprawdzie bez mała trzydzieści wersji i projektów ustawy, ale po przejściu przez sito różnych dyskusji każda z nich upadała. Ostatni projekt, niezbyt zresztą udany, skłaniający się bowiem bardziej ku poglądom reprezentantów tradycyjnej szkoły psychiatrycznej, upadł w 1970 roku, prawie tuż przed metą, w Sejmie.

Do dziś obowiązuje przestarzała już mocno Instrukcja Ministra Zdrowia z roku 1952 o przyjęciach do szpitali psychiatrycznych.

Jednak od 1974 roku trwały ożywione dyskusje nad nowym projektem, opracowanym przez komisję ekspertów, której przewodniczył prof. dr Stanisław Dąbrowski, dyrektor Instytutu Psychoneurologicznego w Warszawie, a w której skład wchodzili również prawnicy tej miary, co dr hab. Leszek Kubicki z Instytutu Nauk Prawnych PAN. Projekt, znacznie bardziej nowoczesny od poprzedniego, wywołał żywe zainteresowanie zarówno w środowiskach profesjonalistów, jak i w szerokich kręgach społeczeństwa.

Najwięcej kontrowersji w projekcie budziły stosunki w relacji pacjent-lekarz. Czy pacjent to tylko chory, podmiot zabiegów lekarza, czy także człowiek i obywatel? A zatem, czy można lub należy wobec pacjentów stosować niekontrolowany przymus, czy też trzeba zwiększyć kontrolę nad decyzjami i posunięciami lekarzy nie tylko w sprawie umieszczania pacjentów w zakładach zamkniętych, ale nawet stosowania bardziej niebezpiecznych zabiegów i metod kuracji? Przeważały racje społeczne, a więc spojrzenie na pacjenta jako na człowieka-obywatela, uprawnionego do decydowania o swoim losie, a w razie niezdolności do takich decyzji — powierzenie ich sądom opiekuńczym i ich reprezentantom, opiekunom.

Część lekarzy poczytuje to za votum nieufności, za „pętanie" im rąk, ograniczenie ich decyzji. W trakcie dyskusji starano się kontrowersję te złagodzić odpowiednimi sformułowaniami, tak że projekt został już przekazany Min. Zdrowia i Opieki Społecznej i można oczekiwać, że jeszcze w roku bieżącym zostanie zgłoszony do Sejmu. Jednak kontrowersje i dyskusje nie ustały. Oddaję więc w tej sprawie głos wybitnym przedstawicielom lubelskiego świata lekarskiego oraz pacjentom i ich rodzinom.

Mówi dr med. Wiesław Brennenstuhl, dyrektor Psychiatrycznego Specjalistycznego ZOZ w Lublinie, członek Zespołu Specjalistów Krajowych d/s Psychiatrii:

— Thomas Szasz w swych wydanych w Nowym Jorku książkach: „Mit choroby psychicznej", czy „Fabryka obłędu" twierdzi, że psychicznie chory nie jest chorym w rozumieniu medycznym. W związku z powyższym działalność lekarza jest szkodliwa, bo polega w większości wypadków na eliminowaniu zachowań pacjentów, które są społecznie niepożądane i nie akceptowane. Zamiast lekarzy mogliby to samo robić członkowie rodziny lub opiekun pacjenta.

Szasz nie jest jedynym lansującym poglądy z kręgu tzw. antypsychiatrii. A tymczasem jak wygląda rzeczywistość? W ciągu ostatnich 10 lat liczba pacjentów przyjmowanych w Polsce rocznie do szpitali psychiatrycznych wzrosła prawie o 100 proc., a np. w r. 1974 przyjęto 54 tys. pacjentów pierwszorazowych, przy czym ze względu na brak miejsc wielu nie przyjęto. Obecnie ok. 90 proc. pacjentów wyraża chęć leczenia w szpitalu. Jestem przekonany, że liczba ta uległaby jeszcze zwiększeniu, gdyby warunki w szpitalach były lepsze. A warunki są złe, bo istnieje przepełnienie. Nie psychiatrzy więc tworzą chorych psychicznie, lecz psychiatrzy ponoszą konsekwencje istniejących sytuacji. I dlatego dobrze się stało, że projektowana ustawa o ochronie zdrowia psychicznego rozszerza odpowiedzialność za tę ochronę poza służbę zdrowia.

W projekcie podkreślono konieczność kształtowania korzystnych dla zdrowia psychicznego warunków rozwoju, wychowania, nauczania, życia rodzinnego, pracy, wypoczynku oraz innych dziedzin życia społecznego. Zadania w dziedzinie ochrony zdrowia psychicznego mają na celu również przeciwdziałanie szkodliwym dla zdrowia psychicznego czynnikom społecznym, psychologicznym (które określiłbym ogólnie mianem stosunków międzyludzkich) i biologicznym. Bardzo istotne jest to, że zadania te będą polegały nie tylko na zapewnieniu osobom z zaburzeniami psychicznymi wszechstronnej opieki zdrowotnej, lecz również udzielaniu pomocy i opieki niezbędnych dla życia w środowisku społecznym oraz na kształtowaniu właściwych postaw wobec tych osób. A te postawy są obecnie pełne niezrozumienia, lub wręcz karygodne. Lekarze-psychiatrzy mają największe trudności w chwili, gdy chcą wypisać pacjenta ze szpitala: napotykają na solidarny opór ze strony rodziny pacjenta, pracodawcy, środowiska, bo „przecież znowu może zachorować".

Mylą się również publicyści głoszący, że psychiatrzy są zwolennikami tradycyjnej terapii, której podstawowym warunkiem była izolacja chorego w zakładzie zamkniętym. To rodziny pacjentów, środowisko najbliższe chorego i inne czynniki wywierają nacisk na psychiatrów, łącznie z groźbami, celem wymuszania przyjęcia pacjenta do szpitala. Nie dziwię się, że lekarze psychiatrzy nie chcą dyżurować w izbach przyjęć i są do tego formalnie zmuszani dopiero zarządzeniem przełożonych.

Innym zagadnieniem jest to, że gdzie właściwie mają być leczeni pacjenci, jeżeli takich nowszych form leczenia, jak kluby, oddziały dzienne, oddziały nocne itd. nie ma prawie wcale? Stąd właśnie za najcenniejsze w nowej ustawie uważam przede wszystkim rozszerzenie odpowiedzialności za ochronę zdrowia psychicznego na całe społeczeństwo. Projekt ustawy w art. 5 mówi, że działalność organów administracji państwowej, społecznej, wykonujących zadania w zakresie ochrony zdrowia psychicznego, koordynuje prezes Rady Ministrów przy pomocy Rady Ochrony Zdrowia Psychicznego. Do zadań Rady będzie należało rozwijanie sieci placówek i instytucji działających

REZERWY MYŚLENIA

Dokończenie ze str. 1

Na temat niektórych rezerw myślenia przeprowadziłem rozmowę z dyrektorem naczelnym Fabryki Samochodów Ciężarowych w Lublinie, inż. Henrykiem Pawłowskim. Nie tylko dlatego, że jest to największa fabryka na Lubelszczyźnie, ale i dlatego, że inż. Pawłowski pracuje w niej 26 lat i począwszy od inspektora nadzoru w dziale inwestycji przeszedł wiele szczebli do dzisiejszego stanowiska, zarówno w wykonawstwie jak i zarządzaniu.

Przede wszystkim interesuje mnie, czy dyrektor tak dużej fabryki ma — we własnym odczuciu — wystarczająco dużo czasu na myślenie koncepcyjne. Wielu ludzi powołuje się tu na wielką samodzielność dyrektorów firm zachodnich — zapominając, że jest to samodzielność jednokierunkowa, której wyłącznym celem jest zapewnienie największego dochodu właścicielowi i sobie, bez oglądania się na politykę społeczną czy interes państwa. Znaczną część samodzielności pożera też zawsze zaciekła walka z konkurencją.

— Perspektywiczny rozwój zakładu — mówi dyr. Pawłowski — jest uzależniony nie tylko od naszej koncepcji, ale przede wszystkim od koncepcji zjednoczenia i resortu, dotyczącej całej branży motoryzacyjnej. W systemie centralnego zarządzania, gdy trzeba się liczyć nie tylko z własnymi interesami, to jest niewątpliwie słuszne, ale i czasochłonne, bo wymaga wielu uzgodnień ze zjednoczeniem, branżowym biurem projektowym, resortem, a jednocześnie pilnego śledzenia rozwoju motoryzacji na całym świecie. Mimo to osobiście uważam, że mam zbyt mało czasu na zajmowanie się dalszą, a nawet bliższą perspektywą rozwoju fabryki. Zadania produkcyjne — miesięczne, kwartalne, roczne — wymagają dużej koncentracji, koordynacji i kontroli.

Nasz przemysł motoryzacyjny ma zaledwie dwadzieścia kilka lat i chociaż w niektórych dziedzinach dorównuje osiągnięciom światowym, to przecież w całości problematyki do czołówki nie należy. Trzeba więc pilnie śledzić, co się dzieje w świecie: mieć zagraniczną literaturę, katalogi, wyjeżdżać na salony wystawowe. Okazuje się, że informacja w postaci literatury i katalogów jest w kraju dość liczna i dostępna, natomiast wyjazdy pracowników z fabryk zdarzają się dość rzadko. Zresztą sprawa korzystania z osiągnięć zagranicznych nie jest prosta. Producenci zazdrośnie strzegą swoich koncepcji i nowe rozwiązania konstrukcyjne czy technologiczne można poznać dopiero wtedy, gdy samochód jest już dostępny na rynku. Ponadto potrzeby i możliwości naszego kraju są inne i do nich trzeba dostosowywać to, co produkujemy. I tu jest szerokie pole do myślenia dla naszych konstruktorów i technologów.

Jakie są jednak potrzebne warunki, aby ludzie nie tylko mechanicznie wykonywali swoją pracę, ale by przy jej wykonywaniu myśleli? Mój rozmówca tak to formułuje:

— Przede wszystkim muszą mieć zagwarantowane warunki do spokojnej realizacji zadań bieżących, co w wyniku daje czas na to, aby móc myśleć o usprawnianiu własnej pracy, o poszukiwaniu nowych rozwiązań organizacyjnych czy technicznych. Jeśli pracownik goni w piętkę za wykonaniem zadań, to albo ze zmęczenia, albo ze zniechęcenia przestaje myśleć jak osiągnąć lepsze efekty. Trzeba więc tak rozkładać środki w stosunku do zadań, aby pozostawić jakąś rezerwę czasu na myślenie. Następnym warunkiem jest poziom kwalifikacji. Jedni sami posiadają ambicję ich podnoszenia, innym trzeba stwarzać do tego warunki. W obu przypadkach pracownik powinien sprawę zdawać sobie, że jego podwyższone kwalifikacje to konkretne korzyści i dla przedsiębiorstwa, a więc państwa, i dla niego. To ostatnie jest ważne, bo przecież każdy dąży do poprawy własnego bytu jak i uznania społecznego. Tym wszystkim ludziom trzeba dać jakiś wyraz uznania ich ambicji i osiągnięć, to zachęca również innych do naśladownictwa.

Jednym z rezultatów myślenia są wnioski racjonalizatorskie czy patenty. Ale ich realizacja wymaga środków finansowych jak i angażowania różnych służb czy stanowisk pracy do wykonania np. prototypu. W pierwszych latach ruchu racjonalizatorskiego wykonanie prototypu należało wyłącznie do projektodawcy, który na własną rękę musiał dogadywać się z majstrem własnego lub innego wydziału, aby mu wykonano jakąś część. Dzisiaj — przynajmniej w FSC — ustala się priorytet wniosków, tzn. do realizacji w pierwszej kolejności wybiera się te, które mogą przynieść największe efekty. Preferuje się oszczędność materiałów i zmniejszenie pracochłonności, jako że w FSC koszty materiałów stanowią połowę wszelkich kosztów, a cały przyrost produkcji ma być pokryty nie wzmożonym wysiłkiem fizycznym lub zwiększonym zatrudnieniem, ale wzrostem wydajności pracy, a więc myśleniem w sprawach technicznych, technologicznych czy organizacyjnych. I wykonanie prototypu czy nowych części jest już sprawą fabryki, a nie projektodawcy.

Na marginesie postulatów o „spokojnej produkcji" dyskutujemy na temat kooperacji. Czy nie jest ona zbyt rozbudowana w naszym kraju? FSC ma ponad stu kooperantów biernych i również ponad stu czynnych. Szeroka kooperacja jest zjawiskiem ogólnoświatowym, wynika z preferowania specjalizacji. Rzecz w tym, aby kooperant dbał nie tylko o własny interes. W FSC wykonanie zadań kooperacyjnych dla innych jest traktowane tak samo, jak wykonanie zadań własnych.

Tak się złożyło, że pewna centrala przez dwa tygodnie nie mogła dostarczyć jakiegoś importowanego składnika do masy rdzeniowej odlewów. FSC mogła więc nie dostarczyć tych odlewów swojemu odbiorcy i formalnie wszystko byłoby w porządku. Ale niedostarczenie odlewów bloku kadłuba do FSO na Żeraniu oznaczało, że w tamtej fabryce przez dwa tygodnie nie będzie można montować fiatów 125 p. Co robić? Wykonanie odlewów przy użyciu środka krajowego oznacza, że ilość braków wielokrotnie wzrośnie i FSC poniesie straty finansowe. Ale mimo to będą one mniejsze, niż straty w FSO. Więc dyrektor FSC podejmuje decyzję: produkować odlewy z użyciem środka krajowego. Braki spisano w FSC na straty, ale w rezultacie gospodarka narodowa zyskała.

Czy z kolei FSC narzeka na swoich kooperantów?

— Generalnie myślą oni tylko o swoich przedsiębiorstwach — powiada dyrektor. — A więc myślenie ogranicza się do bliskiego horyzontu. Wpraw-

w dziedzinie ochrony zdrowia — zapewnienie środków na rozwój kadr, rozwijanie nowych form zapobiegania, leczenia i rehabilitacji.

Mówi pacjentka Stanisława K.:

— Choroba przyszła nagle. Miałam pełen napięcia okres w pracy, a przy tym wiele kłopotów. Niemal z dnia na dzień zacząłem bać się ludzi, obcych i najbliższych. Nie spałam, nie jadłam, szukałam pod łóżkiem bomb i granatów, podejrzewałam nawet męża, że chce mnie otruć. Reminiscencje z lat wojny przeplatały się z ostatnimi przeżyciami. Rodzina podjęła decyzję. Trafiłam do oddziału bez klamek. Rozpoznanie brzmiało: psychoza lękowo-paranoidalna. Ostry stan trwał niepełne dwa tygodnie. Silne dawki leków, odwiedziny bliskich, ich zrozumienie (bo, niestety, rozmów z lekarzami nie odbyłam zbyt wiele) zaczęły dawać rezultaty. Wtedy jednak poczułam się człowiekiem podwójnie gorszym. Nie tylko jak każdy w szpitalnym szlafroku, który odbiera mu pozycję w społeczeństwie, a pozostawia tylko nazwisko, ale jak zamknięte w klatce zwierzę, słyszące po nocach ryki z tzw. szałówki i obowiązane każdorazowo prosić o pozwolenie wyjścia do parku. O ile łatwiej byłoby mi dojść do zdrowia w oddziale dziennym, gdybym mogła wieczory i noce spędzać w gronie rodziny.

W pracy przyjęto mnie nieufnie, czułam niemal na plecach ironiczne spojrzenia, słyszałam niewymawiane głośno słowa: wariatka. Dawano mi najmniej odpowiedzialne zadania, coraz bardziej spychano na margines. Zaczęły nawiedzać mnie wątpliwości, czy czując się w pełni sił psychicznych, myśląc i logicznie kojarząc fakty, jestem naprawdę normalna? Traciłam chęć do życia. Aż przyszedł kryzys — depresja, z którą nie mogłam sobie poradzić. Całymi dniami leżałam w domu, patrząc w sufit, nie mogłam się zmobilizować, by pójść do pracy, nie stać mnie było nawet na to, żeby zatelefonować.

A więc znowu szpital. Dopiero znacznie później dowiedziałam się, że na skutek niestawienia się do pracy miałam być zwolniona w trybie natychmiastowym, że prawdziwe boje, angażując w to lekarzy i radców prawnych, stoczyła o mnie rada zakładowa. Zwolnienia mi nie doręczono, ale już po powrocie niejednokrotnie dochodziły mnie wieści, że kierownictwo czeka tylko na sprzyjającą okazję, by mnie zwolnić lub przenieść na rentę. I do dziś czuję się z łaski tolerowanym intruzem.

Czy na moim przykładzie (a chorych z podobnymi smutnymi doświadczeniami i przeżyciami spotkałam wielu) nie potwierdza się wielka, społeczna potrzeba uchwalenia wreszcie ustawy o ochronie zdrowia psychicznego? W społeczeństwie naszym każdy, kto ma ów nieszczęsny stempelek szpitala dla nerwowo i psychicznie chorych, jest źle widziany, spychany na margines. Dlatego za najwyższy walor projektu ustawy uważam nadanie chorobom psychicznym i psychonerwicowym rangi chorób społecznych, a zatem przyznanie chorym uprawnień do dłuższego okresu kuracji (od 9 do 12 miesięcy) i pobieranie zasiłku chorobowego. Projekt zobowiązuje także zakłady do cofnięcia zwolnienia pracownikowi, jeśli zachorował on w okresie wymówienia, a nawet nie uwzględnienia wymówień, złożonych przez pracownika pod wpływem stanu chorobowego oraz niestosowanie wobec chorego konsekwencji przewidzianych dla osób „samowolnie porzucających pracę". Zakład powinien też ponownie zatrudnić pracownika po jego wyleczeniu oraz zaliczyć mu do stażu okres pracy w zakładzie rehabilitacyjnym.

Projekt ustawy ogranicza również w poważnym stopniu uprawnienia lekarza do przymusowego hospitalizowania w zamkniętych zakładach psychiatrycznych. Jakkolwiek ten punkt mnie nie dotyczy, jakże wiele znam faktów, gdy w zakładzie umieszczał złośliwie jednego z małżonków starający się o rozwód drugi małżonek, albo ktoś z rodziny, gdy chodziło o szybsze zawładnięcie spadkiem chorego. Oczywiście wiele zależy tu od etyki lekarzy, ale — lekarz też człowiek, może być wprowadzony w błąd, może się pomylić, albo po prostu... może być nie w pełni etyczny.

Fot. A. Polakowski

Mówi lek. med. Jerzy Kosior, kierownik Miejskiej Przychodni Zdrowia Psychicznego, Inspektor Miejski do spraw Zdrowia Psychicznego:

— Dotychczas lecznictwo otwarte borykało się z licznymi trudnościami z ludźmi psychicznie chorymi, samotnymi. Nowa ustawa upoważni zakład społecznej służby zdrowia do wystąpienia do prokuratora o ubezwłasnowolnienie chorego i przydzielenie mu kuratora z ramienia sądu opiekuńczego. W niemal analogiczny sposób sprawy dotyczyć będą ludzi zniedołężniałych z powodu starości. Organa administracji państwowej zdobędą uprawnienia występowania do sądu opiekuńczego z wnioskiem o umieszczenie takich starców w domach opieki społecznej, o ile nie będą oni w stanie zaspokoić swoich potrzeb życiowych. Projekt nie uwzględnia, niestety, nagłych form pogotowia opiekuńczego dla starców.

Ponadto projekt ustawy nakłada na lekarzy przy wyborze metody leczenia obowiązek uwzględnienia nie tylko celów zdrowotnych, ale również osobistych i zawodowych pacjenta. Osobiście uważam to za słuszne, ogólna bowiem sentencja projektu idzie w kierunku dobrowolności i poszanowania godności osobistej chorego. Szkoda tylko, że projekt pomija konieczność odstąpienia od dotychczasowych tradycjonalnych form psychiatrycznej pomocy lekarskiej, zarówno w poradnictwie dzieci i młodzieży, jak i dorosłych.

* * *

Przedstawiłam tu różne wypowiedzi. Nie czuję się powołana do rozstrzygania przedstawionych racji. Nie chciałabym też, żeby istniejące jeszcze w różnych kręgach profesjonalistów oraz zwykłych zainteresowanych tym problemem obywateli kontrowersje miały zaważyć na dalszym opóźnianiu uchwalenia projektu ustawy. Jej potrzeba i waga społeczna jest bowiem niepodważalna. Miejmy zatem nadzieję, że w toku dyskusji w komisjach międzyresortowych i rządowych, a także dyskusji publicznej, projekt ustawy zostanie jeszcze udoskonalony. Dla dobra chorych, dla zdrowia psychicznego społeczeństwa.

---

dzie mamy wiele przykładów, że kooperanci stale kontaktują się z nami, pytają o nasze programy produkcyjne, aby do nich dostosować swoją produkcję, proporcje są jednak niekorzystne dla tych, którzy myślą perspektywicznie.

W dalszej rozmowie dochodzimy do wniosku, że wiele jeszcze trzeba zmienić w sposobach myślenia kierownictw różnych przedsiębiorstw, aby ich celem była nie tylko doraźna korzyść własna, ale przede wszystkim interes całej naszej gospodarki. Nie jest to sprawa łatwa, a zmienić trzeba także różne regulaminy nagród i premii, bardziej elastycznie spojrzeć na inne przepisy.

Nic więc dziwnego, że w istniejącej dziś sytuacji FSC chce — i nie tylko ona — zrezygnować z usług kooperacyjnych małych przedsiębiorstw na rzecz dużych. Dodatkowo, korzystając z reorganizacji przemysłu terenowego, FSC przejmuje kilka z nich i po modernizacji wprowadzi tam produkcję wielu elementów potrzebnych dla własnej produkcji, chociaż nie tylko, bo np. dawny Boter lubelski będzie wyrabiał elementy z tworzyw sztucznych dla całego przemysłu motoryzacyjnego. W małych zakładach przemysłu terenowego przy różnorodnej i często zmieniającej się produkcji nie było czasu na specjalnie dociekliwe myślenie. Przy ustabilizowanej produkcji i dalekiej perspektywie rozwoju czas na to się znajdzie. Sprzyjać temu będą także generalnie lepsze płace i również lepsze warunki socjalne.

A zjednoczenia przemysłowe? Przez wiele lat zarzucano im słusznie, że ich rola ogranicza się głównie do produkowania i odbioru papierków, które mało kto czyta, oraz wydawania bardzo drobiazgowych poleceń. To się chyba zmieniło?

— Te zmiany są nie tylko widoczne — twierdzi inż. Pawłowski — ale wprost namacalne. Zjednoczenia zajmują się dziś z reguły problemami ekonomicznymi, technicznymi i koordynacją. W tym kierunku zresztą działa system wielkich organizacji gospodarczych. W tym systemie przedsiębiorstwo jest tylko jakimś tam elementem, z gospodarką narodową rozlicza się WOG, którego właściwym gospodarzem jest zjednoczenie.

— Zdarza się — pytam — że myślenie podpowiada nowe, inne niż poprzednio stosowane rozwiązanie techniczne, ekonomiczne czy organizacyjne. Wszyscy się zgadzają, że to jest prawidłowe, ale przepis — stworzony dla sytuacji przeciętnych i czasem przed wielu laty w innych warunkach — nie pozwala na realizację tego rozwiązania. Co wtedy?

— Jeżeli nowe rozwiązanie czy przedsięwzięcie daje bezsporne, wyliczalne efekty, to niezależnie od przepisu podejmuję decyzję o wprowadzeniu tego rozwiązania — odpowiada mój rozmówca. — Jeżeli natomiast takich efektów w krótkim czasie nie można uzyskać, ale projekt w sumie jest dobry — konsultuję się, więcej, wpływam na odpowiednią jednostkę (najczęściej będzie to zjednoczenie), aby zmienić lub uelastycznić przepis. W każdym razie nie wolno siedzieć z założonymi rękoma i tłumaczyć się niemożnością.

Po takim stanowczym stwierdzeniu proszę o przytoczenie przykładu najświeższej daty. Dyrektor nieco się wykręca — nikt nie chce publicznie przyznawać się do działania, z czymś tam niezgodnego, ostatecznie jednak udaje mi się ustalić, że chodziło o jeden z zasadniczych wskaźników ekonomicznych na rok bieżący. Był ten wskaźnik niewątpliwie słuszny i został zatwierdzony przez wszystkie możliwe instancje. Ale w konkretnych warunkach FSC przeszkadzał w wykonaniu planu, jak również w osiągnięciu lepszych wyników ekonomicznych, lepszych i dla fabryki, i dla gospodarki narodowej. Wtedy dyrektor powziął decyzję o czasowym przekroczeniu tego wskaźnika, sporządzając — na wszelki wypadek — szczegółowe uzasadnienie. Dwa pierwsze miesiące potwierdziły słuszność dyrektorskiej decyzji. Było w niej niewątpliwie ryzyko osobiste, ale oparte na gruntownym przemyśleniu całego zagadnienia.

Ale czy tylko dyrektor ma ponosić ryzyko i odpowiedzialność? W Fabryce Samochodów Ciężarowych organizacja wewnętrzna, system zarządzania i świadomość zarówno formalnej jak i merytorycznej odpowiedzialności kierowników poszczególnych szczebli doprowadziły do tego, że sprawami bieżącymi, nawet trudnymi, jeden drugiemu głowy nie zawraca. Kontaktują się tylko w sprawach problemowych. Działa w fabryce siedem dużych jednostek, zwanych zespołami wydziałów. Kierownik takiej jednostki jest wyposażony we wszelkie środki produkcji — pieniądze, etaty, maszyny, materiały, służbę remontową itd. Ale równocześnie odpowiada za wszystko: realizację zadań produkcyjnych, zabezpieczenie warunków pracy i mienia, za godziwe zarobki ludzi, za wszystko, co jest i dzieje się wewnątrz i w najbliższym otoczeniu tej jednostki. A w każdej w nich pracuje ponad tysiąc ludzi, więc problemów do rozwiązania mnóstwo. W konsekwencji kierownicy niższych szczebli też są wyposażeni we wszystkie środki, zapewniające wykonanie zadań, ale także ponoszą pełną odpowiedzialność za wykorzystanie tych środków.

Odniosłem wrażenie, że tak jest w istocie. Moja rozmowa z dyr. Pawłowskim trwała prawie dwie pełne godziny. Dyrektor nie zastrzegał u sekretarki, aby nie wpuszczała do gabinetu tzw. pilnych interesantów czy nie łączyła telefonów. I w ciągu tych dwóch godzin był tylko jeden telefon — ze zjednoczenia. W tej sytuacji zapytałem prowokacyjnie:

— Czy gdyby pan dyrektor pojechał na urlop do pobliskiego Kazimierza, to miałby pan spokój ze strony fabryki?

— Niewątpliwie tak. Tylko ja sam nie wytrzymałbym i chyba ze dwa razy telefonowałbym z pytaniem, co się dzieje. Nie z niepokoju, ale z powodu osobistej ciekawości.

— Na początku usłyszałem, że ma pan zbyt mało czasu na myślenie koncepcyjne. A co pańscy inżynierowie z biur konstrukcyjnych czy technologicznych, czy są dobrze wyposażeni w urządzenia pomocnicze, czy nadal sami biegają z papierkami, zastępują maszynistkę i gońca?

— Od kilku lat jest czynny w fabryce Oddział Rozwojowo-Badawczy i problemu pomocniczych sił technicznych czy administracyjnych tam nie ma. Występuje natomiast niedosyt wyposażenia technicznego, które zresztą bardzo trudno zdobyć. Ale kończy się prace nad programem rozwojowym FSC i jego wyposażenie będzie już dostosowane do nowych potrzeb.

Na zakończenie mówimy jeszcze o problemie chłopo-robotników, których wydajność pracy jak i zaangażowanie w sprawy fabryki jest znacznie mniejsze niż robotników. Dyrektor wyraża opinię, że zrezygnowałby chętnie z np. 500 chłopo-robotników, gdyby zamiast 2 tys. pozostałych otrzymał 2 tys. rzeczywistych robotników. To wiąże się z wieloma problemami ekonomiczno-społecznymi, jak np. zmiana struktury własności ziemi, budownictwo mieszkaniowe, komunikacja, podnoszenie kwalifikacji it.. Dotyczy to zresztą całego przemysłu. Warto sprawę przemyśleć, a potem przeliczyć.

Relację spisał **Jerzy Dostatni**

Dmytro Pawłyczko

OŚWIECIM

Ja z Oświęcimia nie powrócę nigdy,
Choć dobrowolnie sam tutaj przyszedłem
Tutaj córeczek moich trzewiki
Krzyczą wyrwanymi językami.

Tu okulary ojcowe na stercie
Rozbitych szkieł, powykręcanych opraw
Mogłem je poznać po wołowej żyłce,
Którą związane były u nasady.

Tutaj matczyną poznałem siwiznę
W stosie warkoczy kobiecych po suchym
Promyku jak źdźbło trawy z sianokosów.

Metafor dziś w tym wierszu nie szukajcie,
Chyba, że ojców swych nie pamiętacie
I nie wzuwaliście dzieciom bucików.

CHLEB

Nie ma takiego chleba na tej ziemi,
Jak ten przez moją matkę wypiekany
Na liściu grochowym w tamtym piecu
Głębokim jak tunel koło Jaremeza.

Jak niebo gwiazdami — chleb matczyny
Obsypany był ziarnkami kminku.
Wołał i wabił mnie z daleka
W dzień święta zapachów w naszej chacie.

Nie pachnie mi bret, ni Brot, ni pan,
Bogactwo mnie nie czeka, bo me życie
zmieściło się w małym słowie chleb.

Żyje w nim matka, dawno zmarła,
Szumi groch, co deszczowego lata
Usechł, opodatkowany z udręki.

ŹREBIĘ

Wolnym stępem idą siwe konie,
Do pogrzebnego wozu zaprzęgnięte.
Gospodarz sczesał im na oczy grzywy,
By tej drogi na cmentarz nie zapamiętały.

Ale zza grzywy konie trochę widzą,
Udają ślepe, by nie smucić ludzi,
Ich dobroć nie łagodzi rozpaczy,
Ich mądrość nie rozwiewa żalu.

A obok wozu krąży małe źrebię,
To smyknie przygarść lucerny spod trumny,
To znów podbiegnie ssać wymię matczyne.

I zarży nagle, to bryknie ukosem
I pod kopytem źrebięcia zadźwięczy
Łza czyjaś, która już poweselała.

Z ukraińskiego przełożył
Jerzy Pleśniarowicz

Erskine Caldwell

MĘŻCZYZNA MUSI SIĘ OŻENIĆ

— SŁUCHAJ no, człowieku, zastanów się — mówili mu sąsiedzi. — Taki facet, jak ty, musi się wreszcie ożenić i zostawić światu potomstwo, nim jego dni dobiegną końca na tym padole.

— Ożenić się, ja?! Ha, ha, ha! A to dobre! Wziąć sobie żonę?

— No pewnie — odpowiadali. — Masz niezłe gospodarstwo i ładny dom. Twoja żona i dzieci wcale nie będą dla ciebie ciężarem. Pomyśl tylko, możesz być szczęśliwy: w domu krząta się młoda i miła żona, a opodal wśród kwiatów bawią się dzieci.

— To niemożliwe, ja nie mogę się ożenić. Po prostu nie mam na to czasu. Popatrzcie na tę ziemię: muszę dbać o nią, muszę być na polu nocą i dniem. Oto dlaczego nie mam czasu dla żadnych kobiet i dzieci. Po prostu nie są mi potrzebne.

Idąc przez pole brał garść ziemi i trzymał ją, patrząc na otaczające go zagony. Długo trzymał ziemię w garści, pieścił zgrubiałymi, spracowanymi palcami, jakby ona była zbyt delikatna na to, aby ją zacisnąć w chłopskiej pięści. A potem bardzo ostrożnie kładł tę garść ziemi na poprzednie miejsce.

— Słuchaj, chłopie, czy ty pamiętasz, co mówi pismo święte? — pytali nachodzących go sąsiedzi. — Właśnie tam powiedziane jest: i stworzył Pan Bóg mężczyznę i kobietę...

— Więc cóż z tego. Dokładnie przestudiowałem biblię i nie widzę tu żadnego związku, w końcu nie moja to sprawa rozpamiętywać każdy werset tej świętej księgi.

— To my ci wszystko wyjaśnimy — nie ustępowali sąsiedzi — bowiem powiedziane tam jest, że jesteśmy stworzeni przez mężczyzn i kobiety, co oznacza, że dwoje ludzi różnej płci powinno zamieszkiwać pod jednym dachem. Żaden dom nie jest zbudowany dla jednego człowieka. Dlatego ty powinieneś znaleźć sobie kobietę, a oznacza to, że powinieneś się ożenić.

A gdy mu tak mówili, on brał worek z ziarnem i wychodził na pole, tam wyjmował pełne garście i rzucał je na soczystą, świeżo zoraną ziemię. I za każdym razem, rozrzuciwszy już wszystkie przyniesione nasiona, klękał niczym w czasie nabożeństwa i wciskał je w ciepłą, pachnącą, wilgotną ziemię, póki e jego ziarna zupełnie nie zniknęły w przepychanym przez niego otworze. I szedł tak wzdłuż bruzdy, i pochylał się, aby raz za razem zanurzyć palczastą rękę w ukochanej przez siebie cudownej ziemi. I przymykał oczy, kiedy czuł, że jakoweś przedziwne ciepło podnosi się w nim, jak burzliwa wzbierająca fala.

Czasami jednak wścibscy sąsiedzi przychodzili i robiąc mu na złość mówili, że nikt przecież nie potrzebuje tych paru kłosów, które on hoduje z takim namaszczeniem, jakby mszę jakowąś odprawiał, celebrując niemal zasadzanie każdego ziarna, i że raczej — tak jak inni młodsi i zdrowi mężczyźni — powinien iść do miasta i poszukać sobie pracy w fabryce. Wtedy on zaczynał się głośno śmiać, zaczynał się wyśmiewać z ich strasznej głupoty.

— Jakiś ty durny — mówili mu — przecież w mieście na pewno będziesz bardziej szczęśliwy. Tam jest pełno pracy dla wszystkich, i setki, tysiące ludzi, z którymi można pogadać, pośmiać się. Zrozum to wreszcie, chłopie, i poszukaj sobie jakiejś przyzwoitej roboty w mieście.

— Nie — krzywił się na samą myśli o tym — to nie dla mnie. Wiecie jak jest w mieście? W mieście ulice są twarde i nie czuje się ziemi. A co zrobię w mieście, kiedy nadejdzie wiosna? Gdzie będę siał? O nie, nie jestem taki głupi, żeby zdrowe życiodajne ziarna rozrzucać po bezpłodnym bruku. A tutaj wszystko jest zupełnie inaczej: na wiosnę rzucam nasiona w miękką bruzdę i opiekuję się nimi w czasie kiełkowania i dojrzewania, jak dziećmi. W mieście nie będzie takiej ziemi dla ziaren jak tu, w mieście ulice są twarde, grube kamienne ściany nie przepuszczają ani słońca, ani deszczu, ja potrzebuję chłodnych kropel deszczu i palących promieni słońca.

— O rany, jakiś ty głupi — mówili mu w bezradnym otępieniu, gdy już nie znajdowali innych argumentów. — Ta ziemia wcale ciebie nie potrzebuje, ona ciebie nie kocha, a twoje młode życie napróżno tutaj przemija z dnia na dzień. Czy ta ziemia odmieni się, albo zbiednieje, bez twoich ziaren, bez twoich paru nasion? Nie kocha ciebie ta ziemia. Tobie się tylko tak zdaje, stary... idioto! A tak naprawdę, to wszyscy w całej okolicy tylko się z ciebie śmieją.

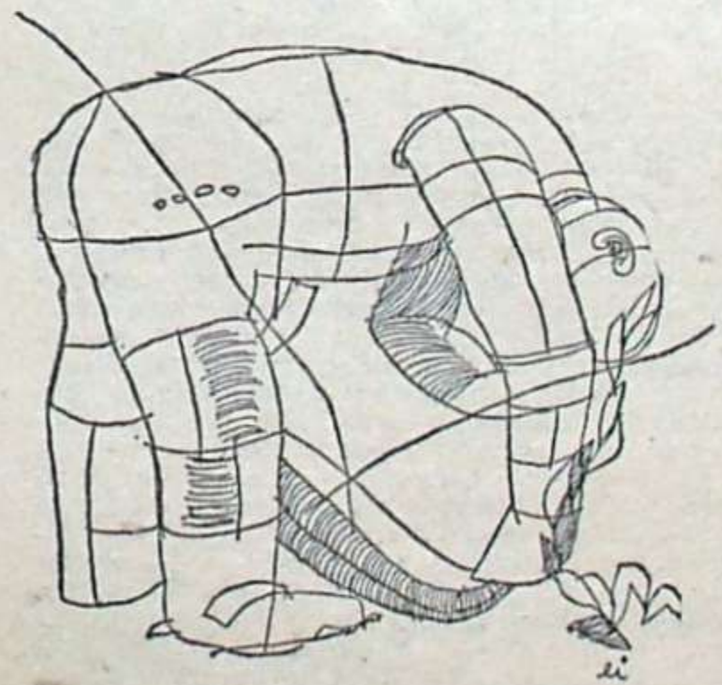

Rys. E. Inglot

Ale on nie miał już sił wysłuchiwać tego gadania. Szybko odchodził i znikał w oddali, bo tam tylko mógł położyć się na świeżej pachnącej ziemi i przycisnąć do niej swoją rozkochaną, płonącą twarzą. I tak długo leżał z rozrzuconymi rękami, czując jej rozkoszne ciepło wypełniające mu ciało.

A jednak ludzie nie dawali mu spokoju. W swej okrutnej zapalczywości biegali po polach i szukali go depcząc jego kiełkujące nasiona, te same, które on tak troskliwie wciskał do ziemi. I każdym swym brutalnym i bezwzględnym krokiem nachalnych intruzów rozrywali, burzyli niepowtarzalne piękno miękkiej, soczystej gleby.

— On tam jest! — krzyczeli zobaczywszy go. — Tam! Tam jest, leży na ziemi, znowu udaje głupiego!

— Czego ode mnie chcecie? — pytał osaczony.

— Przyszliśmy, żeby zabrać ciebie wieczorem do miasta, pojedziesz z nami, zabawisz się, jak inni młodzi mężczyźni — mówili.

— Będzie muzyka, tańce, fajne dziewczyny. Zjemy coś smacznego, popijemy sobie... Czyż nie miałeś nigdy ochoty zabawić się z ładnymi dziewczynami? No, ogarnij się: jedziemy do miasta!

— Jechać do miasta tylko po to, żeby jeść, pić, tańczyć i śpiewać? Po to jechać, żeby gadać z dziewczynami? Nie czuję potrzeby: tutaj jestem bardziej szczęśliwy.

— Słuchaj no ty, nie bądź głupi. Przecież tu nie masz tego wszystkiego, co może uradować serce mężczyzny — mówili z oburzeniem.

— Przecież nie możesz śpiewać i tańczyć sam z sobą. Tutaj nie ma ani jednej ładnej dziewczyny, z którą można pogadać i pofiglować.

— To prawda, macie rację: ale mnie się tu podoba, i mam chyba prawo zostać tam, gdzie mi się podoba...

— Głupi jesteś, jaki ty jesteś głupi — mówili natrętni sąsiedzi. — No, wstawaj, chcemy ci pomóc, żebyś jakoś urządził się w życiu, bo sam jeden zginiesz. I nie leż tu z rękami zarytymi w ziemi. Co za dureń z ciebie. Wstań!

— Kocham ziemię. Jestem szczęśliwy tylko wtedy, kiedy jestem z nią. Dlatego nie wstanę: zostanę tutaj...

— Czy słyszycie, co on powiedział? — dziwili się. — Powiedział, że kocha ziemię. Wariat, jak Boga kocham, wariat! Zaleca się do niej, jak do dziewczyny. Leży tu na ziemi, jakby ona była kobietą. Leży na ziemi, jakby był jej kochankiem. No, wstawajże!

Odchodzili śmiejąc się z niego i wytykając palcami, a kiedy już byli daleko, on wstawał, odszukiwał swój worek z ziarnem i jedno po drugim wciskał w tłustą ziemią. A ziemia, jakby odwzajemniając czułą pieszczotę, zamykała się nad jego palcami, delikatnie gładziła jego ręce. I wtedy zdjęty dreszczem rozkoszy klękał i głęboko wdychał jej słodki zapach.

Padały deszcze, przygrzewało słońce, a wrzucone w czasie wiosennego siewu ziarna nabrzmiewały i kiełkowały. Po pewnym czasie całe pole pokryło się źdźbłami zieleniejącymi i szeleszczącymi na wietrze.

A ludzie wciąż go nachodzili, nie chcieli, trwając w przedziwnej pasji prześladowczej, zostawić go samemu sobie. Nie dawali mu spokoju. Przychodzili, kiedy zachodziło słońce, przypuszczając, że wtedy łatwiej da się zaskoczyć w domu, i że nie wyjdzie, kiedy znowu zaczną go nakłaniać, by uczynił tak, jak oni sobie tego życzą.

— No, zasiałeś już i nasiona wyrosły na twoim polu. Teraz chcemy, żebyś usiadł spokojnie i wysłuchał nas: starzejesz się... Tak, tak, nie przerywaj, bo to prawda i każdy z nas to doskonale widzi.

— Ludzie, o co wam chodzi? — pytał.

— Przestań się wygłupiać i posłuchaj: jesteśmy twoimi przyjaciółmi.

— Co macie mi do powiedzenia?

— Żal nam ciebie i dlatego przyprowadziliśmy ci kobietę. Ona jest tu, czeka pod twoimi drzwiami. Więc ją zaproś, ona też jest samotna. I na pewno będzie dla ciebie dobrą żoną. Dobrze wam będzie razem. Czy wpuścisz ją do swego domu?

— Nie — powiedział z uporem — mnie i tak jest dobrze.

— Nie bądź głupi — mówili. — Człowiek, który tak kocha ziemię jak ty, człowiek który wychodzi w pole i kładzie się na ziemi, jakby to była dziewczyna, taki człowiek powinien być mądry i wpuścić do swojego domu kobietę.

— O tym wszystkim ja mam swoje zdanie i dlatego wam powiem, chociaż nigdy tego nie mówiłem: gdyby wam było tak dobrze, jak mnie, nie przyszlibyście tutaj. Chcecie, żebym wyrzekł się szczęścia, bo sami jesteście nieszczęśliwi.

Zostawił ich w domu, a sam tylnymi drzwiami wyszedł na pole. Szedł w ciemności, póki nie oddalił się od oświetlonych okien swojego domu. Wtedy powoli opuścił się na kolana. Pod nim leżało ciepło ziemi i miękkość zoranej bruzdy. Położył się, rozrzucił ręce i nogi, a dłonie zanurzył w niewidocznej glebie. I tak leżał w milczeniu całą noc, przytulony twarzą do ziemi, czując jak jego serce boleśnie o nią uderza.

Tłumaczył **Roman Gorzelski**

NOTATKI Z ALBIONU (III)

Poszarpana kultura Londynu

Wiesław Horabik

KULTURA powinna być wielowarstwowa, wieloznaczna, rozczłonkowana, niecierpliwa i poszukująca, ale żeby być kulturą przez duże „K" musi zawsze osiągnąć pewien poziom artystyczny, musi znaleźć się powyżej bariery, od której rozpoczyna się sztuka. To truizm. Ale mimo to czasami linia podziału zaciera się, staje się trudna do wytropienia, obserwacja zaś tego, co powyżej bariery, pracochłonna i wymagająca uwagi. W Londynie trudno obserwować ambitną kulturę.

Londyńska kultura jest bowiem poszarpana, podzielona i wielotorowa. Ambitny nurt wart obserwacji kryje się gdzieś w powodzi komercjalnej produkcji, znany jest tylko koneserom i bardzo uważnym obserwatorom. Kultura ta płynie szerokim potokiem. Brak jej jednoznacznej artystycznej spoistości, która pozwoliłaby na całościową ocenę kulturowej postawy narodu, zadziwiającego kiedyś świat wartością artystycznych poszukiwań. Londyńska kultura jest poszarpana i podzielona, bo poszarpane i podzielone jest życie tego miasta. Młodzi, ambitni poeci i pisarze mają swe spotkania autorskie w małych klubikach, wynajętych pokojach i labiryntach uniwersyteckich korytarzy. Można odkryć takie spotkanie tylko przez przypadek. Ambitne teatry mają kłopoty ze sprzętem i finansami, a ambitne pisma wędrują do bibliotek i zalegają księgarskie magazyny, gdy „Daily Mirror" chwali się, że ma największy nakład w Europie. Młodzi, poszukujący malarze rozstawiają swe płótna pod odrapanym, szarym murem przy parku St. James. Czasami podniecone, rozdyskutowane grupki siadają na tłustej, bardzo zielonej trawie Hyde Parku. Taki jest zawsze początek w sztuce. Ale ci, o których mówię, są znani fachowcom całego świata. Tyle, że niewielu ich dzieła kupuje. To, co oślepia, rzuca się w oczy, szarpie nerwy i pulsuje światłami, niewiele wniesie chyba do brytyjskiej historii kultury.

Wypucowane jest to wieczorne życie przy Oxford Street. Rozgwarzone we wszystkich językach świata, podniecone, nieuważne i błyszczące. W sklepach można kupić hinduskie korale, można wydrukować się w gazecie. Kobziarz przed salonem „C&A" wygrywa „Zadziwiającą łaskę". Dymią wózki sprzedawców hamburgerów, na straganach piętrzą się owoce. Turkoczą kamery i błyskają flesze. Uśmiech, zamyślenie, pośpiech, beztroska. Wielkie kina oferują świetliste reklamy oraz lody i kawę serwowane podczas seansu przez urocze kolorowe dziewczyny. Pierwszą kolejkę mijam przy „Odeonie". „Przeminęło z wiatrem", gigant dawnego Hollywoodu przekopiowany na szeroki ekran kosztem milionów dolarów, znowu zbiera miliony, jak w amerykańskich kinach w przeddzień wielkiej „europejskiej" zawieruchy. Wyfrakowany portier kieruje mnie do wężowatej kolejki. Film zupełnie wypaczający sens wojny secesyjnej, poniżający godność Murzynów i gloryfikujący białych plantatorów; i tylko doskonałe aktorstwo Clarka Gable i Vivien Leigh. Jakby nie z tamtych lat.

W małym kinie w dzielnicy Islington oglądam film „Swastika". Wstrząsający dokument ulepiony z prywatnych filmów Hitlera i Ewy Braun. Nad ekranem przez cały seans palą się podświetlone dwie czerwone swastyki — jak przypomnienie. Film był niemy w oryginale, ale zachodnioniemiecki dokumentalista, który go odnalazł, dorobił do niego fonię. Na podstawie ruchu warg głuchoniemi odtworzyli treść rozmów. Hitlerowskie parady i Hitler na co dzień w luksusowej willi w Obersalzberg. Grymasy twarzy i tiki, wielka, wykrzywiona spazmatycznie gęba i rozdygotane dłonie. Publiczność raz po raz wybucha śmiechem. Mały, chory nerwowo człowiek, błazen i kukła. Aż trudno uwierzyć, że ktoś mógł go potraktować poważnie. Tylko czarnobiałe migawki z obozów zagłady nie pozwalają zapomnieć jaki był zakres jego władzy.

„Egzorcysta" wraca na ekrany jak bumerang. Tu „złotą żyłę" ekspoatuje się do końca. Już nie było go długi czas i znowu ustawiają się kolejki. Większość głównych kin w centrum zaroi się spragnionymi mocnych wrażeń. Film sam w sobie nie straszy. Straszy jego miernota artystyczna i brak smaku. Film jest wulgarny i sztuczny. Tak obrzydliwej produkcji nie widziałem od czasów „Diabłów" Russela. Opuszczam kino przed końcem projekcji ku zgorszeniu portierów, dyskretnie chowających za sobą nosze. A może jednak potrzeba mi pomocy? Uśmiecham się.

W maleńkim kinie w Batterse'a grają składankę dwóch starszych filmów, wpisanych jednak na trwałe do dorobku filmowego ostatnich lat: „Zabriskie point" Antonioniego i „Paragraf 22", oparty na znakomitej książce Josepha Hallera. Pierwszy to relacja z wydarzeń studenckich w Kalifornii w 1968 roku, wpisana w opowieść o miłości dwojga ludzi, których policyjno-techniczna cywilizacja wyrzuciła poza burtę i zmusiła do rozpaczliwej walki o potwierdzenie swej indywidualności, swej osobistej wartości i odrębności. Drugi to wstrząsający dokument paradoksu wojny, jej brutalności, zakłamania jej celów i bezsensu militarnej maszynerii.

Dzielnica Clapham jest jedną z najbardziej „kolorowych" dzielnic Londynu. Zamieszkała głównie przez ludność murzyńską, rozpościera się po obu stronach ogromnego parku Battersea. Domy są opuszczone i biedne, życie wolne i monotonne. Tylko dwie wielkie arterie zatłoczone od świtu do nocy samochodami łączą ją z resztą miasta. Jest tutaj zupełnie inaczej niż na Oxford. Jakoś tak po małomiasteczkowemu.

— Współczesny teatr angielski — mówi Mike, student socjologii z uniwersytetu w Cardiff i zapalony miłośnik dramatu — zeszedł do podziemia. Kiedy „młodzi gniewni" lat 50-tych zaczęli zarabiać pieniądze na swoim buncie, a ich bunt okazał się jałowy i tylko jałowy bunt stał się modny, skończył się ożywczy prąd w dramaturgii współczesnej. Trochę później był jeszcze Arnold Wesker, a później nie było już nic. Ci, którzy teraz robią teatr, robią go z pasją i w skupieniu, ale z dala od prasy i sławy.

Mały studencki teatrzyk w dzielnicy Clapham niczym nie różni się od naszego teatru studenckiego. Ta sama gorączkowa pasja poszukiwania nowej formy i te same braki techniczno-aktorskie. W piwnicznej sali bez dekoracji toczy się dysputa między Leninem, Kartezjuszem i Levi-Straussem. Próba politycznego samookreślenia, ideologiczne wahania i niepokoje i końcowy akcent rewolucyjnego zrywu. A w teatrach West Endu grają w tym czasie importowane gwiazdy Hollywoodu: James Stewart w komedii i Henry Fonda w monodramie „Clarence Darrow". Ceny bardzo wysokie. Mówią, że teatry West Endu są dłużne amerykańskim aktorom tysiące funtów. W grudniu przyjechał Rock Hudson.

Kraj o ogromnej tradycji teatralnej, ojczyzna Szekspira, gdzie teatr jest nieodpartą potrzebą ducha, coraz częściej oferuje tanią rozrywkę, przyciągającą widzów tylko sławą aktorskich nazwisk i wzmagającą się na scenie obecnością seksu (słynne produkcje Paula Raymonda). Tylko szekspirowskie inscenizacje nadal są rajem dla duszy. Starannie reżyserowane, z ciekawą choreografią i doskonale grane. Wystawiają je i znakomity Royal Shakespeare Campany w Aldwych (ostatnio seria Henryków) i małe teatrzyki, jak Young Vic, czy Wyndham's.

Plac Leicester należy do „wielkiego centrum". Blisko stąd do Soho i na Oxford. Plac wypunktowany w czterech rogach wejściami do metra, pełen kin i teatrów. Tłum z Oxfordu dociera tu niemal zawsze. Jest w nim jednak jakaś odrębność. Tę odrębność tworzą chyba małe, zagracone sklepiki, w których panuje cisza i pachną stulecia. Bo Leicester Square nazwałbym placem książki. Kręcą się tutaj bibliofile i zwykli miłośnicy książek. Buszują w antykwarycznych zbiorach, rozpytują o nowości, oferują sprzedaż. Mają tu swoje sklepy firmowe znane wydawnictwa. Czasami można natrafić na najbardziej zaskakujące ciekawostki. A jednak w przeciętnej księgarni trudno się dobrać do naprawdę dobrej książki. Klasycy stoją w należytym porządku na półkach, ale z nowości oferuje się to, co „idzie": kryminały, sensacyjne opowieści i literaturę seksu. Bzdurne, tanie wydania osiągające milionowe nakłady. Z angielskiej literatury współczesnej nie dopatrzyłem się niczego. Tylko amerykańska prezentuje się znośnie. Coraz częściej bestseller zaczyna oznaczać kicz. Nie jestem tylko pewien, czy nie było tak zawsze.

Na moje pytanie o dobre książki sprzedawcy nieodmiennie sięgają po Jacqueline Susan i jej seksowe zwierzenia, albo po jakieś pseudohistoryczne opowieści wojenne. Z amerykańskich bestsellerów chciałbym tu wymienić: „Miesiąc złożony z niedziel" Johna Updike, „Walkę" Normana Mailera i „II Wojnę Światową" z tekstem znakomitego pisarza Jamesa Jones'a, autora „Stąd do wieczności", a także biografię „George Sand" napisaną przez Curtisa Cate. Sand spędziła, jak wiadomo, dziewięć lat z Szopenem, którego poznała dzięki swemu przyjacielowi Franciszkowi Lisztowi. Już to samo mogłoby wystarczyć na jedno życie, a tu jeszcze do przyjaciół jej zaliczali się Balzak, Flaubert i Turgieniew. Rok 1975 był w ogóle dobrym rokiem biografii na książkowych giełdach.

Covent Garden bardziej jest chyba znany jako targ owoców i warzyw, niż jako siedziba sławnej opery. W ogromnych halach, rozpachniałych kwiatami całego świata, kręcą się drobni warzywnicy, sprzedawcy i chłopcy do posług. Po betonowej podłodze turkoczą wózki obładowane bananami, ananasami i skrzynkami pomarańcz. Znajomi pozdrawiają się i rozmawiają o pogodzie. A znają się tu wszyscy. Gdy ucichnie plac targowy, w Covent Garden zapanuje muzyka.

Anglicy to dziwny naród. Kochają muzykę, ale nie wydali naprawdę wielkich kompozytorów. Znają się za to na niej i umieją ją odtwarzać. Dla wielu muzyków z całego świata właśnie Londyn jest mekką, w której sukces jest rzeczywiście sukcesem. Prawie co wieczór na muzycznych estradach coś się wydarza. Nie miałoby sensu wyliczanie miejsc koncertowych i muzycznych wydarzeń. Koncerty odbywają się tu zresztą wszędzie. W Królewskiej Operze i w niezliczonych parkach miasta, w salach filharmonii i na statkach sunących wolno wąską i mętną Tamizą.

Ktokolwiek chciałby dokonać jednoznacznej oceny życia kulturalnego Londynu, równie dobrze mógłby sobie postawić każde inne niewykonalne zadanie. Ja chciałem tylko zaznaczyć to, co mnie uderzyło, poruszyło i zastanowiło. Miał to być raczej wieczorny spacer po kulturze tego dziwnego miasta, niż próba jej syntezy.

Fot. J. H. Kowalewski

Zofia Luchowska

DEBIUT

* * *

Spadł deszcz — nagle oczyszczenie.
Wkradła się nieopatrznie
monotonia.
Brak czasu
żeby kochać od nowa.
Deszcz odświeża
skorupę ziemi.
Pada dużymi kroplami,
drąży w pyle naszych ciał
i rozlewa się
w błotniste kałuże.
Słyszę za oknami
usypiający szelest.
Spać,
spać...
Zostanie nie dopita
za gorąca herbata.

W akademiku za... firanką

Dokończenie ze str. 1

— No tak, ale po co przegrodziłyście się tą firanką?

— No wiesz, sta... ra, każda z nas ma te dwa.. dzieścia jeden lat... każda ma ab...szty... fi... kanta.

— Ale i tak słychać — wtąca jedna ze współmieszkanek.

— No to już nic nie poradzę — odpowiada Krystyna.

Rozmowa się nie klei. Rozstajemy się z mieszkanką zza firanki. Rozmawiam z Ewą.

— Większość dnia, zarówno ja jak i moje „współspaczki", spędzamy poza pokojem, w którym jesteśmy zakwaterowane. Nic nas nie łączy poza wspólnym metrażem. Zawieszenie firanki to pomysł Krystyny. Gdy odgrodziła swoją część pokoju, my pooddzielałyśmy swoje kąty szafkami i dokupiłyśmy więcej firanek. Na początku wspólnego mieszkania nawet rozmawiałyśmy ze sobą, wspólnie piłyśmy herbatę. Nigdy tu nie było żadnych kłótni, ale teraz wszystko jest oddzielnie. Halina to nawet wałówki z domu przechowuje w szafie z ubraniami, żeby tylko nie dzielić się z nami. Kilka miesięcy temu było tu czyściej, wyznaczyłyśmy dyżury do sprzątania. Teraz nie ma dyżurów, każda zamiata tylko koło swojego łóżka. Traktujemy siebie jak powietrze, o układach koleżeńskich nie może być mowy...

— Czy nie można było drogą pewnych wyjaśnień lub przez zmianę składu pokoju polepszyć sytuacji? — pytam.

— Nikt nie wysunął takiej propozycji. Przyzwyczaiłyśmy się do istniejących układów. Zresztą w innych pokojach też można spotkać „namioty".

— Nie rozumiem.

— Po prostu każda oddziela się od reszty zawieszając na tych drewnianych deskach kapę — odpowiada Ewa. — Tak się dzieje w wielu pokojach.

Akademik jest koedukacyjny. Razem z Ewą idę do pokoju, w którym mieszkają jej zaprzyjaźnieni koledzy — plastycy. Siadamy na łóżkach w zagraconym wnętrzu, udekorowanym obrazami studentów. Nawet przysłowiowy męski nieporządek nie potrafi wytłumaczyć klepiskowego koloru parkietu. Z patefonu napędzanego korbką rozlega się zawodzenie Tadeusza Faliszewskiego: „Gdybyś tylko zażądała..." (nagranie z 1938 roku). Nastrój — retro, ale nasza rozmowa dotyka spraw współczesnych. Mówi się o sprawach dnia codziennego, niejednokrotnie drażliwych i bardzo osobistych.

— Żeby było w miarę dobrze w pokoju, trzeba odpowiednio dobrać skład mieszkańców już na pierwszym roku — mówi Marek z II roku. — Przeważnie to się nie udaje. W ubiegłym roku mieszkał z nami taki jeden. Przychodził do akademika tylko spać, a gdy wyjeżdżał na niedzielę do domu, to zabierał cały swój „majątek" łącznie z budzikiem i brudnymi ciuchami. Przyjeżdżał w poniedziałek i przywoził to wszystko z powrotem. Jedzenie nosił ze sobą na zajęcia...

— Owszem, zdarza się, szczególnie na pierwszych latach — powiada Andrzej, też II rok — że współmieszkańcy wyjadają sobie zapasy. Ale to wszystko drobiazg: najgorzej, że często nie ma się gdzie uczyć. W „ryjcu" (pokój cichej nauki) ćwiczą muzycy, a we własnym pokoju — brydż, goście, lub wyjące radio. W czasie sesji uczymy się na stancjach u kolegów.

— Czy chcielibyście mieszkać na stancji? — pytam.

— Nigdy — odpowiadają zgodnym chórem.

— Najgorszy akademik jest lepszy od najlepszej stancji. Tu żyjemy wśród rówieśników o podobnej mentalności i zainteresowaniach. Tu koncentruje się nasze życie społeczne i kulturalne. Tylko tu możemy być sobą.

* * *

Sobotni wieczór. Dziś w „Feminie" dyskoteka. Tłumy młodych ludzi usiłują tańczyć w zadymionym klubie. Jest bardzo ciasno. Gwara studencka używa słowa „tarło" na określenie takiej zabawy. Piętnastozłotowe bilety, jak na stypendialną kieszeń, są drogie. Zabawić się jednak trzeba. Jest karnawał. Idę do tych, które zrezygnowały z wieczornych tańców.

W jednym z pokoi organizujemy dyskusję. Proponuję temat: jak się mieszka w akademiku? Odczekuję chwilę ogólnej konsternacji, ale już za moment okazuje się, że dziewczęta mają bardzo dużo do powiedzenia. Wypowiedzi ich są zróżnicowane, ciekawe i chyba szczere.

— Najważniejsza sprawa to odpowiedni ludzie w pokoju (Maria V rok.) Trzy z nas studiują na tym samym roku; mieszkamy razem już piąty rok. Jest nam ze sobą dobrze, ale taką sytuację zapewniła nam przyjaźń, wspólna nauka oraz wzajemne szanowanie odrębnych postaw i poglądów. W tym roku dokwaterowano nam „nową". Z początku wydawało się że będą z nią kłopoty, jednak powoli zdobyła naszą sympatię.

— Najbardziej denerwuje mnie ugodowość moich koleżanek (Elżbieta V rok). Niejednokrotnie wiele konfliktowych spraw nie znajduje rozwiązania, bo nie chcą „narażać się", „zaogniać sytuacji". Chcą mieć przynajmniej pozorny spokój, ale dokąd można spokojnie znosić w pokoju wielogodzinne gry w brydża, uprawiane przez kolegów mojej współmie: anki?

— Nie przesadzaj, tak często przecież nie grają (Alicja IV rok). Jednak najważniejsza sprawa to uniknąć konfliktów. W akademiku jest fajnie. Stancja — to samotność, skrępowanie, izolacja od społeczności studenckiej. Jedna z moich koleżanek wyprowadziła się od nas na stancję. Tam okazało się, że ze światła można korzystać do godz. 22, wizyty kolegów zostały kategorycznie zabronione, koleżanki mogły ją odwiedzać, ale w miarę rzadko. Umyć twarz i zęby — to, owszem, mogła, ale kąpać się już nie było wolno. Gospodyni — rencistka, mieszkająca w nowym bloku przy ul. Zana, twierdziła, że zbyt drogi jest gaz, żeby zużywać go na grzanie wody. Chociaż chodziła w ciapach po pokoju, to i tak gospodarze wyłożyli cały parkiet gazetami i folią, żeby nie brudzić, bo podobno klepka jest cienka i nie wolno jej cyklinować. Wyprowadziła się po miesiącu, wróciła do akademika i do tej pory jest „waletką", bo prawa do legalnego zamieszkania w DS-ie już nie uzyskała.

* *

W czytelni DS „Grześ" zastałam pięciu mieszkańców tego akademika. Reprezentują różne lata i kierunki studiów. Rozmawiamy długo. Okazuje się, że konfliktów między studentami jest wiele, lecz żaden z moich rozmówców nie zrezygnowałby z mieszkania w domu studenckim. W budynku jest czysto i przyjemnie. Tu mieszkańcy dbają o swoje „terytoria". Nie zdarza się jednak, żeby odgradzali się od siebie firankami lub szafami.

Wiesław (II rok): — Akademik zapewnia mi szerokie kontakty koleżeńskie i towarzyskie. Na stancji życie płynie wolniej. Tu mieszka się ciekawiej i wygodniej.

Irek (II rok): — W społeczności akademickiej można wyodrębnić dwie grupy, czyli lata pierwsze i lata starsze. Młodsi dopiero uczą się życia, starsi znają już różne „dojścia" i „wyjścia". Tym drugim jest lepiej. Przed studiami mieszkałem w internacie. Ludzie byli tam bardziej zżyci ze sobą. Tu każdy żyje oddzielnie.

Andrzej: — Główną przyczyną konfliktów jest różnica zainteresowań i typów psychicznych. Twierdzę jednak, że akademik uczy życia. Studenci tu mieszkający są bardziej towarzyscy niż ich koledzy ze stancji. Mówiliśmy tu o tolerancji, śmiem twierdzić, że często nazwałbym stan ten inaczej: znoszeniem siebie nawzajem.

Przewodniczący Rady Mieszkańców: — Konflikty i to dosyć ostre zdarzają się. Staramy się rozwiązywać je w sposób ugodowy. Przekwaterowujemy mieszkańcow, przeprowadzamy tzw. „męskie rozmowy". Próbujemy doskonalić warunki socjalno-bytowe, życie kulturalne i sportowe, tak aby każdy student traktował akademik jako własny dom, w którym może „być u siebie".

Bożena Siedlecka

MICKIEWICZ WŚRÓD BRACI CZECHÓW

Dokończenie ze str. 1

Wyruszył on z Drezna nad Wełtawę nie jako przypadkowy turysta, lecz z określonym celem poznania *tamtejszych filologów i rozpatrzenia się w ich dziełach*. Do podróży tej był dobrze przygotowany. Własne lektury dawniejsze pozwoliły mu zaznajomić się z historią Czech i z ich położeniem narodowym. O rozwoju współczesnej mu literatury czeskiej sporo wiedział od Franciszka Malewskiego. Wcześniejszy pobyt w „Złotej Pradze" przyjaciół-filomatów tegoż Franciszka oraz Mariana Piaseckiego, i nawiązane przez nich znajomości przygotowywały niejako grunt pod przyjazd Adama. Stanąwszy na praskim bruku, młody poeta przekonał się, że w kręgach literackich i naukowych tego miasta jest już znany. Zwłaszcza wśród takich pisarzy, jak Wacław Hanka, Franciszek Czelakowski — tych właśnie, którzy do dziejów Czech przeszli pod nazwą „budzicieli" — Mickiewicz pozyskał od razu szczerych przyjaciół.

Szkoda, że nie znamy dokładnego praskiego adresu Adama. Znamy natomiast miejsce jego spotkań z przyjaciółmi — Czechami. Na Ovocnim Trhu, czyli Rynku Owocowym, łatwo można sobie wyobrazić Mickiewicza, który tu właśnie w roku 1829, w winiarni „Pod Niebieskim Winogronem", spotykał się z czeskimi wielbicielami jego talentu. Inne przekazy podają nazwę oberży „Pod Wiechą", gdzie nasz poeta również zapraszany był na miód i wino. Znamy jego rozmówców i tematy pogawędek. Wacław Hanka, rzekomy znalazca, w rzeczywistości autor „Rękopisu Królodworskiego", zręcznej mistyfikacji utalentowanego autora, namawia twórcę „Konrada Wallenroda" do podjęcia pisarskiego trudu nad poematem lub dramatem z dziejów czeskich walk narodowych. Bohaterem tego utworu — zdaniem Hanki — powinien być Jan Żiżka, czeski uczestnik bitwy pod Grunwaldem. Hanka obiecuje Mickiewiczowi pomoc w zebraniu materiałów źródłowych.

Jednooki bojownik czeski spod Grunwaldu mógł urzec Mickiewicza, tak jak po latach urzekł Matejkę. Niespokojne, zbuntowane duchy pociągają bowiem zazwyczaj wyobraźnię pisarzy i artystów. Do takich właśnie duchów niespokojnych należał słynny reformator Jan Hus oraz Jan Żiżka, zbrojnym ramieniem wspierający ruch husycki.

Z Pragi zrobiłam krótką wycieczkę do miasta Tabor. Dziwnym, jakgdyby biblijnym echem brzmi jego nazwa, zabłąkana pomiędzy swojsko, słowiańsko brzmiące nazwy sąsiednich miejscowości. Pojawiła się ona w kronikach czeskich XV stulecia, albowiem wtedy właśnie Taborem nazwano nowo zbudowany ośrodek ruchu husyckiego, przyciągający zbuntowaną przeciw uciskowi społecznemu biedotę miejską i wiejską. Niedaleko od Taboru, w miejscowości po dziś dzień zwanej Kozi Hroudek, była siedziba Jana z Husyńca, który do historii przeszedł jako mistrz Jan Hus, reformator społeczny, wróg feudalizmu i antagonista największej potęgi średniowiecza — papiestwa. W miejscowym muzeum na starych rycinach zobaczyłam Jana Husa, prowadzonego na stos i Jana Żiżkę. Po zwycięstwie grunwaldzkim Hus przesłał do króla Jagiełły list z wyrazami serdecznej radości. Pisał: *największą sprawiłoby nam boleść, jeśli za dni naszych widzielibyśmy ziemie języka naszego słowiańskiego zajęte i zniszczone przez samowolę innej nacji...* List ów — to jedno ze świadectw dalekowzrocznej przenikliwości Jana Husa, który dostrzegał groźbę, stwarzaną przez rozwój krzyżackiej potęgi.

Jan Żiżka mógł więc naprawdę zafascynować Mickiewicza. Uzasadnione były więc nadzieje pisarzy czeskich na twórcze zainspirowanie autora „Konrada Wallenroda" tym tematem i tą postacią. Jeszcze w trzy lata później w Dreźnie dogoni go list od Wacława Hanki ze słowami: *... spodziewałem się ponieważ z Drezna niedaleko do Pragi, i tym bardziej żebyś tu na materiałach do Żiżki więcej korzystać mógł, że i nas swoim nawiedzeniem uszczęśliwisz (...). Rad bym wiedział o nowych płodach Pańskich, żebym mógł o tym wielbicielom Pańskim opowiadać, jest ich tutaj wielu... (3 V 1832).*

Wiadomości o tym poemacie, rzekomo ukończonym i we fragmentach czytanym przyjaciołom, o jego rękopisie jakoby zniszczonym, należy jednak pozostawić w kręgu literackich legend. Sam Mickiewicz po wielu latach powie swoim przyjaciołom, Siemieńskiemu i Niewiarowiczowi, że namawiano go do podjęcia pracy nad poematem o Żiżce, ale *bohater przedstawiający się z jednej tylko strony, nienawiści, i zemsty, wydał mi się ustępem, nie zaś skończoną całością, ponadto jego zdaniem wojny husyckie, choć z taką heroiczną prawadzone zaciętością strawiły naród czeski i odjęły mu wszelką żywotność.*

Na razie opuszcza „Złotą Pragę" z najlepszymi wrażeniami, pozostawiwszy zapis w księdze pamiątkowej Wa... go mias... cenny b... piśmien... po lat... wykład... słowiań...

„Z Dr... jak słus... liście d... ka. Z P... badu, ... obydwu... warzysz... Dreźnie... sekretar... liach i... drówki... respond... jednak... Bychows... wiadania... ży w us... Frantisz... pod adr... *Miluv ce...*

Praga Teatr Narodowy

Michał Tracz

* * *

o tobie śnią opuszki palców
gdy noc zgłodniałe pędzi psy
w przestrzeni zawisł tamten uśmiech
ufności naszej ocalały brat

tak się w tym mroku tulimy łapczywie

a oczu zimne srebro
roztapia naszą obojętność
do ostatniego tchu

idę do ciebie krawędzią strachu
onieśmieleniem pustych autostrad
myślą najbrzydszą oszalałym echem
rozbijającym macki ciszy

idę
a twoje piękne metafory —
głodne bestie
wypuszczają z uwięzi moje ramiona
gotowe stłamsić
wyobrażenie zielonych łąk
w pulsującej dolinie
ciała

o tobie myślą opuszki palców

tobą się karmi
żarłoczna pamięć

* * *

mówiłaś mamo
dni popłyną szybko
jak wiatru popękany głos
a noce będą jaśnieć
od uśmiechów małych gwiazd
mówiłaś o polach
rozsianych szeroko
chropawą ręką ojca

więc oczekiwałem
dziś noce są samotne
myśli drepcą bojaźliwie

mówiłaś mamo

Jan Wyka

Z PĘKNIĘTEGO NACZYNIA

Zaświećcie cieniom w oczy
ledwie dostrzegą cień
swego cienia.
Archeologom, konserwatorom
zapisuję rzecz wyjałowioną:
szczerby
ułomki
skazy
szramy.

Twarze jednookie, anonimowe,
blizny jak koryta wyschniętych rzek,
palce konserwowane w śniętej glinie,
działa, czołgi przetopione w uskrzydlone
blachy —
po szeregach zostały buty, menażki
i wahadełka jęczących minut.

Nie odpuść pamięci — winowajczyni,
poraziła ciągi kadrów,
pierzchła przed słaniającą się grozą,
porzuciła towarzyszy pod Brunete,
odwróciła się, oślepła od spętanych jeńców,
drży przed zmartwychwstaniem patrolu
wyżętego kulomiotem.

Zdradziłem podobizny,
wypaliłem im dusze,
roztrwoniłem na cudzoziemskich drogach
skrzyżowania dziejowe
strażujące druty,
zaułki okopów.

Wiersz z tomu „Trasy powrotów" (wiersze z lat 1936—1975), który ukaże się niebawem nakładem MON-u.

Janusz Borowicz

* * *

przynosisz mi kwiaty
błysk wzroku i bach
zbity wiersz na kwaśne jabłko

mówisz że nie przeklinam
że uciekam w siebie
pisze wiatr

co mi tam wiatr
płacz i melancholia rozbitych drzew
nie chcę tych kwiatów
całuję usta po zakrwawionych palcach

CÓŻ Z TEGO

wczoraj wieczorem
ziemia szeptała prawdę
o trawie z setek ciał tkanej

cóż z tego
dzień rodzi się bólem
i znów razem bobry szczęśliwe
i znów niezadowolone

* * *

odeszłaś
po rozsypanych paciorkach różańca
modlitwy

myślisz że płaczę
ujadaniem wiatru

tylko czasem
piach w oczy
zranionym głosem po śladach

---

meji. Te słowa są na pewno fantazją literacką. Ale sam Mickiewicz pisał nie bez dumy o sobie, że *umie po czesku nieźle*, i mamy prawo mu wierzyć.

Różnojęzyczna rzesza kuracjuszy wypełnia śródmieście Karlovych Varów. Wszystkich, jak magnes, przyciąga punkt centralny kąpieliska — miejsce, gdzie pod szklaną obudową kipi wysokim obłokiem białej pary źródło, którego moc i siła sławna jest w całym świecie. To źródło, kiedyś nazywane „Sprudlem", od wielu lat powróciło do dawnej czeskiej nazwy o słowiańskim rodowodzie: Vrzidel.

... Po tygodniowym prawie pobycie w Pradze, wypełnionym intensywnymi kontaktami literackimi, do Karlovych Varów Mickiewicz jechał raczej na odpoczynek. Dziś powiedzielibyśmy — na relaks, którego dostarczają nie tylko lecznicze właściwości karlovarskich źródeł, lecz również mikroklimat miejscowy i łagodna uroda krajobrazu. W Karlovych Varach jest prześlicznie. Łagodne stromizny okolicznych wzgórz, kędzierzawe zarośla na zboczach. Domy wypoczynkowe i sanatoria ukryte w ogrodach. Cieniste parkowe zakątki. Rzeka Tepla z malowniczymi przerzuconymi ponad nią mostkami.

Czyniąc zadość miejscowemu rytuałowi, wypijam szklankę ciepłej i raczej niesmacznej słynnej wody z zawartością leczniczych soli mineralnych. Przegryzam ten napój tutejszą specjalnością — okrągłymi waflami, które zwą się „karlovarskie opłatki". Kupuję inną turystyczną osobliwość: płaską buteleczkę z karlovarskim likierem czy likworem, mniej wprawdzie słynnym, niż wody pitne i sole kąpielowe z firmą znanego uzdrowiska — ale na pewno znacznie smaczniejszym. I ruszam tropem przeszłości na spotkanie z dawnym Karlsbadem, który u schyłku lipca 1828 roku odwiedził Mickiewicz. *Pytaj mnie w Karlsbadzie na Neue Wiese, zum Pfeil* — pisał Odyńcowi. Dom ów poleciła mu pani Maria Szymanowska, sławna pianistka, stała bywalczyni Karlsbadu. Wskazówka ta pozwala mi stosunkowo łatwo znaleźć zachowaną aż do naszych czasów dwupiętrową kamieniczkę z wąskimi oknami. Żaluzje i okiennice nadają elewacji kamieniczki staroświecki, sympatyczny wygląd. Na froncie wmurowano w roku 1870 tablicę z czarnego marmuru ze słowami: „Tu mieszkał pod nr 4 Adam Mickiewicz w roku 1829". Na liście kuracjuszy odnotowany został pod numerem kolejnym 1666 *Herr von Morozowicz, Gutzbesitzer aus Lublin oraz Herr von Mickiewicz, russisch-kaisellicher Beamter aus St. Petersburg*, wraz z adresem domu na Neue Wiese. Ulica, przy której stoi ten dom, za dawnych czasów zwała się Marienbadzką — Marienbaderstrasse. W pobliżu domu „Pod Strzałą" znajdowała się zaciszna winiarnia.

Przez cały dzień krążę po współczesnych Karlovych Varach. W zakątkach spokojnych i zacisznych, obok źródeł na deptaku, tętniącym wielojęzycznym gwarem, szukam karlsbadzkich śladów Mickiewicza. Uzdrowisko to w czasach, kiedy odwiedził je nasz poeta, było już znane i sławne. Goethe przyjeżdżał do wód Karlsbadu trzynaście razy. Tu zaznajomił się z Marią Szymanowską i od wywczasów karlsbadzkich datowała się przyjaźń obojga. Ze znanych i sławnych Polaków poprzednikami Mickiewicza w Karlsbadzie byli między innymi: Ignacy Krasicki, Julian Ursyn Niemcewicz, Kazimierz Brodziński.

O wędrówkach Mickiewicza po Karlovych Varach i po najbliższych okolicach, wśród malowniczych lasów i wzgórz, mało mamy wiadomości od samego poety. W relacji i pamiętnikach jego współczesnych rozsiane są wzmianki o spacerach Adama na miejsce ulubione przez Goethego — było nim ustronne zacisze, zwane „Siedzibą Przyjaciół". Na pewno poeta wspinał się serpentynami krętych ścieżek na wzniesienie Petersohne, czyli Petrzin. Na pewno odwiedzał restaurację „Pocztowy Dwór" i spacerował aleją Puppa na krańcu Starej Łąki. *W wyobraźni starał się ujrzeć Vary, prastarą osadą słowiańską z której wyrosło dzisiejsze uzdrowisko* — pisze Helena Bychowska. Istotnie, w sąsiedztwie Karlovych Varów leżały wioski o nazwach brzmiących swojsko: Role, Dalove, Doubi... Bez wysiłku można było, rozmawiając z ludźmi po polsku, uzyskać odzew po czesku, zetrzeć powierzchowny nalot niemczyzny i w nazwach pobliskich osiedli doszukać się słowiańskich rodowodów.

Do Karlsbadu ciągnęły istne pielgrzymki kuracjuszy odpowiednio zamożnych, którzy mogli sobie pozwolić na kosztowny „ekspens" wyjazdu „do wód". Mickiewicz jednak trzymał się z daleka od życia światowego. W liście do Franciszka Malewskiego wspominając nieco później Karlsbad napisze, iż uciekał od niektórych poetów, albowiem *biorąc wody, niepodobna być w humorze słuchania głupich wierszy*. Mieszkał z Kalikstem Morozowiczem, potem z Odyńcem, którzy, jak sam pisze, spełniali rolę *puklerza ochronnego* wobec natręctwa ciekawych, usiłujących zaznajomić się z poetą.

Tutejsza atmosfera widocznie sprzyjała zwierzeniom i pobudzała nurt wspomnień. Odyniec zanotuje bowiem niejeden usłyszany wówczas od Adama ciekawy szczegół przeszłości odległej lub niedawnej, jak chociażby wspomnienie o kłopotach z bagażem podczas podróży statkiem z Kronsztadtu do Travemunde. Kiedy zbierali się obaj do wyruszenia w daleką drogę, miejscowi rodacy uczcili ich odjazd wieczorem towarzyskim w „Pocztowym Dworze". Przed opuszczeniem Karlsbadu raz jeszcze odwiedzili ulubione przez Adama miejsca w uzdrowisku, wśród nich „Dorotheenau" z sielankową altanką, w której lubił spędzać godziny samotnych rozmyślań. Czy mógł odgadnąć, że osiemdziesiąt lat później rodacy ufundują na jego cześć i w tym właśnie miejscu postawią popiersie z napisem łacińskim: „Adam Mickiewicz Excellentissimus Poeta Poloniae"?...

Okupanci hitlerowscy zniszczyli ten mały pomnik. Ale czescy i polscy wielbiciele Mickiewicza odbudowali go w dawnym kształcie i na dawnym miejscu wkrótce po wojnie, już w roku 1949, w sto dwudziestą rocznicę wyjazdu poety z Karlovych Varów.

Dom „Pod Strzałą" odwiedzany był często przez entuzjastów poezji mickiewiczowskiej, zwłaszcza od roku 1870, kiedy utworzono w nim jak gdyby zalążek muzeum, lub mówiąc po dzisiejszemu, „izbę pamiątek". W specjalnej księdze wpisali się przybysze — polscy i przedstawiciele innych krajów. Był wśród nich Aleksander Chodźko, Ignacy Sewer-Maciejewski, Wincenty Pol, Andrzej Zamoyski, Seweryna Duchińska, Józef Ignacy Kraszewski...

Ścianę jednego z pokoi na drugim piętrze kamieniczki zdobił wówczas portret Mickiewicza wykonany przez warszawskiego litografa, Fajansa, według paryskiej fotografii Szwajcera. Pani Petrek, właścicielka tego domu, wskazując ów portret korespondentowi warszawskich „Kłosów", Adamowi Mieleszko-Maliszkiewiczowi (w roku 1876) powiedziała, że wizerunek poety przywiozła i zawiesiła w tym miejscu parę lat wcześniej jakaś Polka w czerni, która rozpłakała się, przekroczywszy próg pokoju. Była to Maria z Mickiewiczów Gorecka, ukochana przez poetę córka Marynia...

Monika Warneńska

Fragment książki „Nad wodą wielką i czystą", która ukaże się niebawem nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

ODPOWIEDNIE DAĆ RZECZY - SŁOWO

Romualda Klimczak

ZADANIE zawarte w tytule wypowiedział niegdyś poeta wielki i ciągle jeszcze współczesny — Cyprian Kamil Norwid.

Nieodpartą logikę i głęboki sens zdania uświadamiam sobie w sposób szczególny, czytając prace uczestników eliminacji okręgowych VI Olimpiady Literatury i Języka Polskiego, jako juror zawodów i członek Komitetu Okręgowego.

Młodzi poloniści, uczniowie ostatnich dwu klas szkoły średniej głównie liceum ogólnokształcącego, wykazali ogólną orientację w historii literatury, mieli jednakże znaczne kłopoty z językiem i stylem oraz kompozycją prac. Niebogate słownictwo, frazeologia, ogólniki, schematyzm i powtarzanie sformułowań podręcznikowych, brak własnego stosunku do utworu, nieumiejętność samodzielnego, oryginalnego ujęcia tematu, choć sformułowania tematów na taką samodzielność pozwalały.

Takie uwagi odczytać można w recenzjach wypracowań wielu uczniów, którzy uczestniczyli w pierwszym etapie zawodów II stopnia Olimpiady Polonistycznej w Lublinie.

Tematy były interesujące i nie wykraczały poza program liceum ogólnokształcącego:

1. Renesans i barok — dwie wizje świata i dwie poetyki. Scharakteryzuj na przykładach wybranych z twórczości znanych ci pisarzy.
2. Kmicic, Wokulski, Judym — trzy koncepcje bohatera w literaturze polskiej.
3. Bohater literatury romantycznej i współczesnej — analogie i różnice w postawie wobec świata.

Wymagania stawiane uczestnikom Olimpiady Polonistycznej obejmują dokładną znajomość problemów historyczno-literackich i językowych według pragramu liceum ogólnokształcącego. Przewidują jednakże przekroczenie tegoż programu zasięgiem zainteresowań i oczytaniem olimpijczyka.

Uczestnik olimpiady musi być przygotowany do wszechstronnej i samodzielnej interpretacji lektury, zwłaszcza że listę lektur opracowaną przez Komitet Główny otrzymuje na długo przed eliminacjami szkolnymi.

Dlaczego zatem miejsce analizy utworu — zgodnej z nauką o literaturze, zajmują nic nie znaczące zwroty retoryczne, przesadnie uczuciowe sformułowania?

Przypuszczać należy, że młodzież przygotowująca się do olimpiady zbyt często pozostawiona jest sama sobie. Szuka po omacku drogi do uzyskania najlepszych wyników w eliminacjach olimpijskich. Tylko nieliczni sami potrafią sprostać wymaganiom. Większość młodzieży potrzebuje i oczekuje pomocy od nauczyciela.

Pomoc szkoły nie może ograniczać się do propagandy wizualnej na temat olimpiady. Nie powinna też kończyć się na śledzeniu postępów ucznia w toku samokształcenia.

Nauczyciel — opiekun olimpijczyków musi ukierunkować samodzielną pracę olimpijczyka, udzielać stałych konsultacji i informacji bibliograficznych, zadbać o bieżący kontakt wychowanka z życiem kulturalnym i literackim, śledzić jego rozwój intelektualny i postęp w zakresie sprawności polonistycznych.

Podjęty przez olimpijczyka proces doskonalenia się w literaturze i języku to nie tylko określone kwantum wiedzy, ale proces obejmujący wszystkie sfery jego osobowości — intelektualnej, emocjonalnej i wolicjonalnej.

Opieka nad olimpijczykiem jest zadaniem trudnym i odpowiedzialnym. Pamięta o tym Komitet Główny, przyznając nagrody i dyplomy nauczycielom. Doceniają wysiłki nauczycieli władze szkolne, wykorzystując w tym celu fundusz nagród Ministerstwa Oświaty i Wychowania oraz Kuratorium.

Ambicja, właściwa zawodowi nauczycielskiemu, jest czynnikiem mobilizującym w podejmowaniu różnorodnych poczynań pedagogicznych. Nie zawiedzie z pewnością w odniesieniu do olimpijczyków, jeśli dyrekcje szkół zwrócą baczniejszą uwagę na potrzeby młodzieży w tym zakresie, jeśli zostanie opracowany długofalowy plan pracy z młodzieżą uzdolnioną.

Brak systematycznej, planowej i konsekwentnej działalności jest przyczyną miernych efektów trwającej od lat sześciu Olimpiady Literatury i Języka Polskiego. Nieliczne sukcesy młodzieży szczególnie utalentowanej nie są w stanie zmienić ogólnie panującej opinii o brakach i niedostatkach w przygotowaniu uczestników tej imprezy.

Aby nie być gołosłowną pozwolę sobie zacytować fragment wypracowania tegorocznego uczestnika zawodów okręgowych. Temat 2: „Kmicic, Wokulski, Judym — trzy koncepcje bohatera w literaturze polskiej".

Autor tak rozpoczyna swoją pracę:

Bohater, bohater, bohater, bohater, bohater... Kto i kiedy wymyślił tą (?) śmieszną nazwę dla Ciebie Człowieku? Minęły wieki, dużo wody upłynęło a my wciąż jesteśmy zagubieni... itd. Retoryczne zwroty mają zastąpić analizę postaci literackich. Dalszy ciąg pracy nie wnosi nic nowego, nie rozwiązuje problemu zawartego w temacie. Potwierdza natomiast zagubienie autora w problemach — głównie teoretyczno-literackich i językowych. Przypominają się słowa Norwida zawarte w tytule.

Rezultatem pisemnej części eliminacji jest niedopuszczenie do egzaminu ustnego 70% uczestników.

Język — to szczególnie słaba strona młodych polonistów.

Test językowy wprowadzony w eliminacjach drugiego stopnia obejmował w zasadzie materiał z programu szkoły podstawowej. Ponad 50% uczestników uzyskało z testu oceny niedostateczne. Sygnał ostrzegawczy o wyjątkowo groźnej wymowie — jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że uczestnicy polonistycznej olimpiady to w przeważającej części uczniowie uzyskujący oceny dobre lub bardzo dobre z języka polskiego.

Problemy młodzieży uzdolnionej znajdują się obecnie w centrum zainteresowania społeczeństwa. O eksperymentach pedagogicznych dotyczących wykrywania i rozwoju talentów pisze nie tylko prasa specjalistyczna, ale i codzienna. Olimpiady są wypróbowaną formą pracy z młodzieżą utalentowaną. Wprowadzone do szkół podstawowych konkursy przedmiotowe przyczyniają się do uzyskiwania lepszych wyników w olimpiadach dla młodzieży szkół średnich.

Ciągle jednak oczekuje na opracowanie jednolita koncepcja pracy szkół i placówek oświatowo-wychowawczych, dotycząca uzdolnień dzieci i młodzieży. Sytuacja wymaga ciągłości poczynań dydaktyczno-wychowawczych w miejsce okazjonalnych działań, uwarunkowanych osobowością określonej jednostki.

Wielu uczniów ma zaufanie do swoich nauczycieli. Wie, że może na nich liczyć w trudnych chwilach swego młodego życia. Chodzi jednak o to, by przygotowanie do konkursu czy olimpiady nie było sprawą osobistą nauczyciela i wychowanka, stało się natomiast tym, czym jest w istocie — zagadnieniem społecznym.

Kamena str. 10

oko-lice sztu-ki

Wierzyć w sztukę

ZASKOCZYŁA nas wszystkich, interesujących się sztuką powstającą w Lublinie, ta wystawa Tadeusza Śliwińskiego w 1975 roku, otwarta w BWA. Tylko podpisy pod obrazami świadczyły, że mamy do czynienia z pracami tego artysty, który przez ponad pół wieku przyzwyczaił otoczenie do twórczości całkiem odmiennej. Autor rysunków i akwarel przedstawiających z reguły pejzaże i architekturę Lubelszczyzny, a budowanych w sposób zwany umownie realistycznym, wystąpił oto z obrazami, które wyraźnie wskazywały na swoje pokrewieństwo z formizmem, czyli z orientacją inicjującą na polskim gruncie coś w rodzaju tzw. sztuki nowoczesnej. Niekonsekwentne i chyba mało świadome były te próby sprzed lat sześćdziesięciu, przejawiała się w nich myśl kubistyczna, błądziły echa futuryzmu, odzywał się sentyment do sztuki ludowej. Tak czy inaczej, od formistów zaczęła się polska droga do nowoczesności w sztuce, niwelująca zarazem — przynajmniej okresowo — te obszary kreacji artystycznej, które koncentrowały się wokół refleksji humanistycznej, wokół problematyki moralnej człowieka.

Tadeusz Śliwiński przez całe swoje długie życie, właściwie bez reszty związane z Lublinem, nigdy nie sympatyzował z tamtym nurtem. Do twórczości abstrakcyjnej, konstruktywistycznej, do malarstwa materii, do wszelkich odmian plastyki nie przedstawiającej realnych widoków świata tego odnosił się niechętnie, wręcz wrogo. Malował niewielkie akwarele — kolorowe widoki Kazimierza, Puław i Lublina, rysował piórkiem Świątynię Sybilli, utrwalał tuszem „Motyw z Podzamcza". Była to praca spokojna, bez większych emocji — o czym świadczyły same kartony, elaboraty raczej inwentaryzatorskie, respektujące proporcje przenoszonych na papier obiektów i naturalną urodę detali architektonicznych. Jakże egzotycznie wyglądały te prace na wystawach okręgowych schyłku lat pięćdziesiątych, kiedy większość środowiska zaczęła na gwałt „unowocześniać się", z dnia na dzień porzucając wczorajszą wiarę na rzecz nowego boga... O ile wiem, Śliwiński niezbyt przejmował się swoją pozycją, dość w końcu niewygodną, i dalej robił swoje.

Aż nagle, bez jakiegokolwiek wcześniejszego sygnału, uczeń Mehoffera i Axentowicza w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych pokazuje na wystawie jubileuszowej — 55 lat twórczości — malarstwo zdecydowanie zaprzeczające dotychczasowym dokonaniom. Mało tego: te zgeometryzowane pejzaże są zbudowane wyjątkowo logicznie, spójnością swej wewnętrznej konstrukcji dystansują to wszystko, co zrealizował Śliwiński dotychczas. Tyle że są historycznie spóźnione o kilkadziesiąt lat, że bardzo do nich podobne pod względem formuły stylistycznej można łatwo tu i ówdzie odnaleźć. Więc należy przypuszczać, że rozhisteryzowani ciułacze faktów i miłośnicy komparatystyki, zwani historykami sztuki, nie zechcą zauważyć tej ostatniej, jak się okazało, malarskiej demonstracji Śliwińskiego.

Tymczasem ostatnie dzieło jednego z założycieli Związku Artystów Plastyków w Lublinie (1936) uważnego choć nieco innego spojrzenia wymaga. Trzeba wobec niego odłożyć wasserwagi analizy formalnej, bo umożliwią one wnioski tyle prawdziwe, co skarlałe, niepełne. Jestem głęboko przekonany, że ostatnie obrazy Tadeusza Śliwińskiego były dramatyczną próbą odnowy własnej twórczości, która — wierzył w to zapewne — przyniesie mu autentyczne uznanie środowiska i publiczności. Artyści skrywają na ogół takie pragnienia: jako coś wstydliwego, co nie przystoi dzisiejszemu twórcy, który uwierzył w swe totalne wyzwolenie od służby społecznej, od marzeń zwyczajnych, od elementarnych, a więc „banalnych" motywacji działania. Śliwiński był inny — szczery.

Mam przed sobą notę biograficzną Tadeusza Śliwińskiego. Autor uwzględnił w niej chyba wszystkie wystawy, w których uczestniczył przed i po drugiej wojnie, choć akurat nie wymagano takiej skrupulatności statystycznej. Są wśród nich imprezy ogólnopolskie, nie ma na tej obszernej liście ekspozycji wielkich, nobilitujących. Wiem ponadto, jak żywo członek „Zachęty" śledził publiczne zainteresowanie swoją twórczością, przesadzając nawet lekko w metodach obserwacji...

Miał pewne sukcesy artystyczne. Nie ulega też kwestii dokumentarna wartość pokaźnej części jego dorobku, którą należałoby się troskliwie zaopiekować. Pełni satysfakcji chyba nie osiągnął. Istota sprawy nie wiąże się jednak li tylko ze skalą jego talentu. Przez wiele lat Śliwiński był nauczycielem rysunku w szkołach lubelskich. Respektował zatem rygory, kanony, które przekazano mu wcześniej. Wierzył w słuszność własnych poczynań. Tymczasem sztuka wkroczyła na inne drogi, dla niego obce. Nie rezygnował jednak z własnych przekonań. Kilka miesięcy przed śmiercią — 9 marca 1976 roku — doszedł być może do wniosku, że trzeba spróbować inaczej. Czy wiedział, że ta próba doprowadzi go do dawno wyschniętych źródeł?

Ostatecznie nie jest przecież ważny kierunek ostatniej wyprawy malarskiej Tadeusza Śliwińskiego. Ważny jest ów sam dramatyczny gest odnowy artystycznej człowieka liczącego 78 lat. Aby go uczynić, trzeba mocno wierzyć w siebie i w sztukę. Chyba to właśnie jest dziś godne najwyższego szacunku.

IJK

W BWA w Lublinie odbył się indywidualny pokaz prac plastycznych Józefa Łukowskiego z Warszawy (na fotografii autor). Artysta studiował w ASP w Warszawie i Centralnej Akademii Sztuk Pięknych w Pekinie (ChRL) w latach 1951—1958. Od 1956 r. uczestniczy aktywnie w życiu artystycznym kraju, często wystawia za granicą (Nowy Jork, Londyn, Rzym, Moskwa, Budapeszt, Kair). Ekspozycja lubelska zgromadziła tkaniny o wyrafinowanej kolorystyce „feretrony", dzieła o wielkiej urodzie, wytwarzające atmosferę sakralnego skupienia.

Fot. A. Polakowski

Seksualna draka

Henryk Makarski

— INIECH pan będzie ostrożny, panie Romku — szepnęła nastrojowo panna Dziunia, hipnotyzując mnie wysoko opalonymi udami — szef jest dzisiaj okropnie zły!

Widząc mój zagubiony gdzieś po jej biurkiem wzrok, obciągnęła sukieneczkę w czerwone maki, co dało efekt taki mniej więcej, jak w ludowej anegdocie o przykrótkiej kołdrze: zasłaniając uda, odsłoniła bezwstydnie rozłożysty, pełny biust, nieskrępowany niczym — nawet stanikiem, o czym świadczyły dokładnie nabrzmiałe sutki, obciśnięte makami, taka moda i już. Nie wiem właściwie, dlaczego panna Dziunia od razu skojarzyła mi się z kołdrą, ale — jak powiadają najstarsi ludzie we wsi — „o tem potem". Stałem więc przed drzwiami, obitymi brązowym skajem, pełen nadziei na jakiś dopust natury, trzęsienie ziemi czy burzę z piorunami, ale nic takiego nie nastąpiło. Zapukałem dwa razy.

Szef specjalnego regimentu kontrolnego — radca Antoni Grabczak, siedział za biurkiem w całej okazałości swoich stu przysadzistych kilogramów, ozdobionych hiszpańskim wąsikiem i nienagannie gładko wysmarowanymi brylantyną włosami. W młodości na pewno nie jedną i nie dwie dziewczyny uszczęśliwił — pomyślałem; niemądrze, ale tak po prostu wtedy pomyślałem, co tu łgać, tak było.

— No co tam, obywatelu drogi — rzucił tak sobie, w moją stronę, nie podnosząc głowy znad papierów. Milczałem, uznając, że skoro mnie wezwał, to chyba raczej on ma mi coś do powiedzenia; zresztą, „no co tam" było zazwyczaj tylko retorycznym zwrotem, którym zaczynał każdą rozmowę, pierwszym ruchem pionka na szachownicy, o tym wiedzieliśmy.

Na wstępie opieprzał mnie za dwuminutowe spóźnienie do pracy przez dwadzieścia dwie minuty (obserwowałem w tym czasie zegar ścienny, wiszący nad jego głową) sapiąc o dyscyplinie, rezerwach i oszczędnej gospodarce czasem. Przez dwadzieścia dwie minuty tak mówił. Potem wręczył mi anonim, ten właśnie anonim, z adnotacją: „Do realizacji w terminie do dnia..."; i tu data, tak jakby od dziś za dwa dni. Kiedy skłoniłem się pokornie najuprzejmiej jak tylko umiałem, z zapytaniem o fachowe wskazówki, magister Antoni Grabczak ofuknął mnie z przekąsem, podnosząc głowę znad papierów:

— To co, wy, inspektor jednostki wojewódzkiej (tu pełna nazwa, którą dyskretnie przemilczę) nie wiecie, co robić? Realizować, realizować, obywatelu drogi! Za godzinę macie autobus!

W tym momencie przezornie wyszedłem z gabinetu, albowiem nerwowe chrząkanie szefa nie wróżyło niczego dobrego. Sukienka panny Dziuni znowu była w pozycji horyzontalnie wysokiej: zasłaniała biust, odsłaniała uda.

Byłem wdzięczny szefowi: łatwiej opracować samodzielnie plan działania niż dodzwonić się do informacji PKS-u! Czas naglił, trolejbusy migały czerwienią, a ja stałem smętnie na przystanku. W końcu zdecydowałem się na marszobieg, zdążyłem w ostatniej chwili, białożółty autosan do Zamościna ruszał ze stanowiska. Siedząc wygodnie w lotniczym fotelu, zbierałem myśli w koncepcyjną całość. Pomyślałem sobie: punkt pierwszy — przeczytać. Autobus łagodnie falował, nabierając szybkości.

Szanowny panie radco — donosił anonimowy korespondent z tzw. terenu — *co się u nas wyprawia to strach i obraza Boska, sodowa gomora i złodziejstwo na oczach, że żal duszę ściska, co mogo wszystkie poświarczyć. A najgorzej, że sołtys jest w klice bo wóde z niemi chleje razem. Kary boski nie ma na tych łajdaków i sołtysowe Iwone co sie gzi suka z nimi za nasze krwawice za nasze pieniądze znaczy sie łapówki co potem je i tak przechlajo w gospodzie niech bufetowa poświarczy. Bo my musim dawać w łape tem geometrom co u sołtysa na Zaburzu kwaterujo. Najsampierw to bioro za nic za samo to żeby wyszli na pole stawka 10 złoty od ara rozpisanego. A potem jak kto chce mieć działke w dobrym miejscu i dużo punktów to i dużo musi posmarować najmniej tysionca. Stary Zezula co pod Montekasyno prawe ręke stracił to dostał same krzaki na górce dwa kilometry za stodoło bo nic nie chciał posmarować honorem sie uniós a potem jak zaczoł sie z nimi handryczyć to mu powiedzieli dziadku jak chcecie to dostaniecie piękno działeczke równiutko ale pod Montekasyno i śmieli sie a ten inżynier Bogdanek to powiedział jeszcze tak czemuś głupi boś biedny i czemuś biedny boś głupi. Stara Korkucicha to aż na kolanach inżyniera prosiła żeby jej puścił bo musi trumne kupić bo stary zmar i pieniędzy nie ma to jej odliczył na trumne a reszte wzioł nawet okiem nie mrugnoł taki pazerny na wdowi grosz. I przeważnie starych tak grabio bo młode to majo różne sposoby a co to stary to już na mydło ma iść? Mąż zaufania to chla razem z nimi i sołtysem od samego wieczora jak tylko sołtysa Robercik z gospody przyleci z wódo. Wielmożny panie radco najwyższy spraw żeby tych krwiopijców za konsekwencje szybko pociongnoć bo strach co się dzieje w naszych Horajcach. Uprzejmie prosim o załatwienie tej sprawy i z góry dziękujem.*

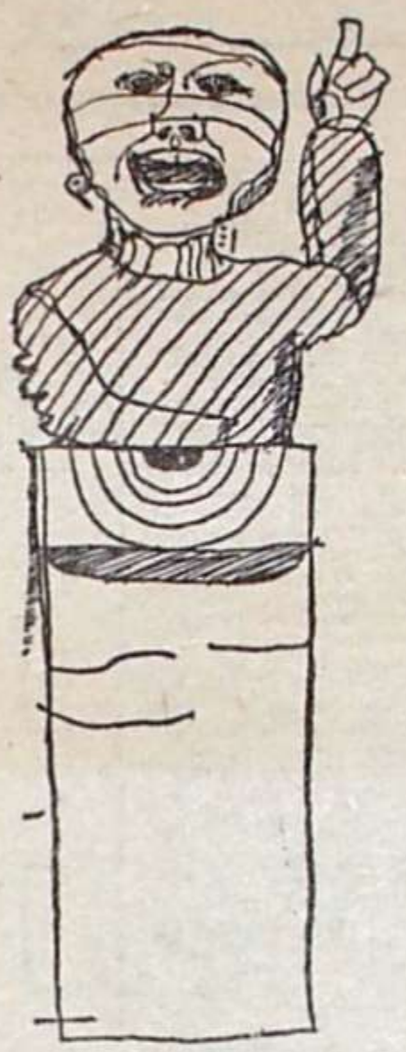

Rys. E. Inglot

Nic dodać, nic ująć, samo życie — pomyślałem smętnie i wprawiło mnie to w zadumę taką, że nie zauważyłem jak autobus gwałtownie zahamował przed krową rasy holenderskiej, która z dostojeństwem przechodziła powoli przez jezdnię, nie okazując nawet najmniejszego szacunku dla szybkości nowoczesnego autokaru o standardzie „Lux". Wyrżnąłem głową w oparcie siedzenia, zawierając znajomość z siedzącą samotnie przede mną dzierlatką lat 35—37 szczupłą brunetką ze złotymi kołami w uszach. Twarz, starannie otynkowana fluidem, tryskała elegancką młodością, ale koliste zmarszczki na szyi — jak słoje w drzewie — mówiły prawdę. Wiek nie ma zresztą dla mężczyzny większego znaczenia, jeśli kobieta mu się podoba — zmierza do celu najkrótszą drogą. Włosy jej pachniały lakierem, acetonem i perfumami „Sex", których w dziewiątej klasie używaliśmy zaciekle, raczej bez oczekiwanych efektów, nie licząc oczywiście faktu, że zarozumiały bubek Czaruś Jaczynowski (herbu wiednąca lilia) z IX „a" wyłysiał, niekoniecznie z rozpusty, co naraziło go na docinki.

Zamieniłem z nią kilka zdań o krajobrazie, pogodzie, urodzaju truskawek i — rozmowa utknęła wskutek naszego niezbyt korzystnego usytuowania wobec siebie: trudno bowiem dyskutować z tylną częścią ciała choćby najbardziej ponętnej kobiety. A szkoda, bo do Zamościna było jeszcze prawie dwie godziny jazdy. Krajobraz tchnął równinną, pustawą nudą aż po najeżony kostropatą bryłą lasu horyzont, oglądany przeze mnie dziesiątki razy podczas wyjazdów służbowych: łąki, pastwiska, pola żytnio-kartoflano - pszenno-buraczane, gdzieś tam nieruchomy bocian na jednej nodze jak wykrzyknik na stronicy monotonnego referatu. Ziewnąłem ukradkiem, znajoma zerkała do lusterka. Tak dojechaliśmy jakoś do sławetnego z odwiecznej renowacji i rujnacji Zamościna. W dworcowym barze W—Z „Grota" przełknąłem smaczny szaszłyk z rożna à 14 złotych porcja i wepchnąłem się jakoś łokciem do wysłużonego autobusu marki „Ifa" firmy „Autonaprawa", dziarsko toczącego się w kierunku ukrytych na końcu świata Horajców.

Przymknąłem powieki i już-już sklejała mnie senność, gdy nagle poczułem znajomy zapach. Obejrzałem się. Za mną siedziała owa dzierlatka, uśmiechnięta zachęcająco. W międzyczasie zdążyła zasłonić szyję jedwabną apaszką i rozpiąć zamszową kurteczkę, ujawniając ciepły cynober sweterka, podkreślającego te rzeczy, o których nie wypada mówić zbyt często, zwłaszcza w towarzystwie innych kobiet, przekonanych o swojej niepowtarzalnej kobiecości. Nie powiem, o czym rozmawialiśmy przez godzinę, bo powtórne trawienie nieszczerych komplementów byłoby ponad moje siły. W każdym razie omal nie przyciąłem sobie języka, podskakując na fotelu, tylko dlatego, że autobus potrząsał nami okropnie, mknąc po czymś, co przypominało bardziej średniowieczny trakt, porośnięty szczerbato kocimi łbami, lub nawet fabryczną trasę testową dla produkowanych ciężarówek — niż publiczną drogę którejś tam kolejności odśnieżania. Wysiadła przystanek przed Horajcami, machając pieszczotliwie rączką, na której zauważyłem wcześniej trzy ogromne pierścienie, warte na pewno w sumie jakieś 50 tysięcy. I kto wie, może nawet zgrzeszyłbym z nią, mając w perspektywie nocleg nie wiadomo gdzie, gdyby nie to, że śmierdziała kozą, niemytą kozą.

Stałem na przystanku w Horajcach jak na bezludnej wyspie, wokół której rozlewało się morze błota, bez porządnych gumowców ani rusz! Miałem szczęście, bo akurat nadjechał milicjant z miejscowego posterunku i był uprzejmy mnie podwieźć. Tuż przed domem sołtysa motocykl „zabuksował". Po chwili potężny „Ural" kręcił się w kółko na samym ośrodku bajora, ku uciesze dwóch dziadków w wyszmelcowanych serdakach, obserwujących z ławeczki senne, horajeckie życie. W ubłoconych pantoflach pchnąłem furtkę z tabliczką „sołtys", zardzewiałe zawiasy zaskrzypiały jak stado gęsi.

Sołtys przyjął mnie uprzejmie, z dumą w głosie opowiadając o budowie gminnego ośrodka kultury. Wyjrzałem przez okno. Z jednej strony fundamentów wisiał świątek na spróchniałym krzyżu, w aureoli świeżych kwiatów; z drugiej lśnił czerwony napis na białej desce: „Poprzez wykorzystanie rezerw w gospodarowaniu ziemią umacniamy sojusz robotniczo-chłopski!"; pośrodku, między krzyżem a hasłem, leżały rozdarte worki z cementem, rozgrzebywanym przez kury. Geodeci wyjechali właśnie do miasta po zakupy, Iwonka i Robercik na obóz wędrowny, racja, przecież to wakacje. Stara Korkucicha załatwiała w powiecie zasiłek pogrzebowy z PZU, a Zezula, ten co to pod Monte Cassino rękę był stracił, wpadł wczoraj pod traktor z miejscowego kółka i leżał w szpitalu w Zamościnie.

Jednym słowem, nie ma z kim gadać — pomyślałem, aliści obawy moje okazały się przedwczesne. Zanim sołtys naświetlił mi problem komasacji gruntów w gminie Horajce, podkreślając jej znaczenie dla rozwoju rolnictwa, czego nie rozumie „niektóren nieuświadomiony element obywatelski", widłami broniąc wstępu geodetom na swój zacofany grunt — pod oknem sołtysowej willi z czerwonej cegły zgromadził się tłum miejscowych; wieść o przybyciu kogoś z metropolii rozeszła się lotem przysłowiowej błyskawicy.

— Na pewno bzdurzyć będą, panie inspektorze — wysapał czerwony na twarzy sołtys — że starym krzywda. A co, ma ziemia leżeć odłogiem, jak nie ma komu uprawiać? To słuszna polityka, żeby gospodarstwa rozwojowe wzmacniać, po to jest komasacja, a oni harmidery jakieś, rokosze szlachciurskie wyprawiają, aż wstyd, że to w naszej wsi tak... — to mówiąc zakrzątnął się koło kredensu.

Wyszedłem widząc co się dzieje. Baby opadły mnie i jazgotały wszystkie naraz, wymachując groźnie rękoma, z płaczem, gniewem, bólem i nadzieją, że za sprawą mego przyjazdu stanie się cud. Chłopi trzymali się na razie z daleka, kurząc papierosy i czekając. Po jakimś czasie zrozumiałem, że potwierdzają zawarte w anonimie zarzuty. Wyczuwałem jednak, że siła tego oskarżenia tkwi tylko w anonimowej zbiorowości.

— Panie inspektorze, ja tam nigdy nie powiem, żem dawał — sumitował się chłopina w niebieskim kombinezonie, siedząc przede mną w niewielkiej salce remizy strażackiej, którą tymczasowo zająłem. — Przecież pan inżynier wyraźnie powiedział, że w więzieniu razem zgnijemy w razie czego, bo ten co daje też odpowiada, ja tam nie dawał, nic nie wiem! — wypalił z wysiłkiem. Kobiecina w chuście szalinówce o wszystkich kolorach tęczy od razu się nastroszyła, wziąłem się więc na sposób:

— No co, obywatelko droga, ciociu kochana, daliście dwa tysiące i nic, same krzaki, co? Szkoda dwóch tysiączków!

Spojrzała na mnie z przestrachem jak na złego proroka.

— Jakie dwa? Przeciem tylko tysiąc dała psubratom i żeby to chociaż było za co...

Spisałem protokół.

— Przekażę sprawę milicji, ale nie bójcie się, ciociu, sąd może uwolnić was od kary, jeśli uzna, że przyznaliście się do wręczenia łapówki przed wszczęciem postępowania przygotowawczego. — Podpisała drżącą ręką, ale widać było, że żałuje szczerości, której potem uczciwa ambicja nie pozwoliła jej się wyprzeć. Pozostali chłopi nie ryzykowali oczekiwania na łaskawość sądu, wyparli się w żywy kamień. Potwierdzili tylko seksualną zawartość anonimu.

— A niech tam się puszcza jak ma zdrowie — stwierdził jeden — jej nie ubędzie, a komuś przyjemnie. Jak ojciec głupi wódkę daje, to co się dziwić, wiadomo, dziewczyna pijana — pupcia sprzedana! I w ogóle to ci geodeci mają seksualny stosunek do całej komasacji: ludzie psioczą, a oni pierniczą wszystko i robią swoje, seksualna draka!

Wyjeżdżałem z Horajców z uczuciem niesmaku i bezradności. Chciałem tym ludziom pomóc, żeby wreszcie przestali gadać, że biednemu zawsze wiatr w oczy, biednego chłopa najłatwiej ukarać. Przyznała się tylko jedna osoba, i to jedynie wskutek chytrego fortelu. Straciłem nadzieję na ukaranie geodetów, ale nie utraciłem wiary w ludzi. Muszę bowiem dodać, że opuszczałem Horajce na furmance, powożonej przez kobietę, od której podstępnie wyłudziłem przyznanie się do winy. Powinna mi napluć w twarz, a ona — na przekór stereotypom — zaprosiła mnie na wóz, kiedy od dwóch godzin bezskutecznie oczekiwałem na autobus. W drodze do Zamościna przypomniałem sobie, że żona kazała mi kupić puchową kołdrę, bo u nas nie ma. Ech, panna Dziunia...

Kamena str 11

Bałwanek

KALENDARZOWA wiosna a tu śnieg sypie i sypie. Niebo upłynnia remanenty z poprzedniej zimy.

Dzieci przyniosły do domu bałwana. Z pewnym trudem wniosły go po schodach.

— On będzie z nami mieszkać — powiedziała Iwonka.

— Przygotuj mu miejsce w swoim pokoju — dodał Zygmuś.

Usiłowałem protestować:

— Dzieci kochane, to nie ma najmniejszego sensu. Odnieście bałwanka z powrotem na podwórko.

— Nie. Na podwórku może się przeziębić. Takie wietrzysko!

— Ale tutaj będzie mu przecież za gorąco. Roztopi się i pobrudzi podłogę.

— A Mruczuś nie brudzi podłogi?

— Mruczuś to co innego. A brudzi inaczej. Kto to zresztą widział, aby bałwana trzymać w pokoju?

— A ty?

— Co ja?

— Mamusia ciebie trzyma... — Zygmuś uśmiechnął się czarująco.

— Za dużo sobie pozwalasz, smarkaczu — musiałem go skarcić.

— Powiedz to mamusi — zaszczebiotała Iwonka.

Przywołałem żonę. Streściłem w całym rzecz i dodałem:

— Za bardzo rozpuściłaś te bachory. Teraz takie żałosne skutki.

— Ja rozpuściłam? Ja? — przerwała mi oburzona. — A kto im na wszystko pozwala? Dobrze dzieci, dobrze. Jeden bałwan w domu mniej, jeden więcej, co to za różnica? Zresztą w twoim pokoju kaloryfery i tak nie grzeją. Trochę postoi.

— Ale w końcu się rozpuści i zamoczy mi książki!

— Już dawno powinieneś połowę biblioteki odnieść na makulaturę!

— Parkiet się zniszczy!

— To administracja nareszcie wymieni. Nie widzisz, jak się wypaczył?

Machnąłem ręką. W nocy, gdy wszyscy już posnęli, wślizgnąłem się do mego pokoju, aby dokładniej obejrzeć nowego sublokatora. Muszę bezstronnie przyznać, że nawet mi się spodobał. Węglane oczy i marchwiany nos dodawały mu uroku. Pogładziłem go lekko po głowie. Przechylił ją trochę, jakby dziękując. Potem powiedział. Najwyraźniej powiedział:

— Niech mnie pan przykryje jakimś kocem. Zimno tu jak diabli.

Żadnego koca nie mogłem jednak znaleźć. Narzuciłem na niego futro żony.

— Nie ma pan prawdziwego? — zapytał. — Po sztucznym mam alergię.

— Za duże wymagania! Nie mam. Czego pan jeszcze chce? — Ten bałwan zaczynał mnie irytować. Musiał to zauważyć, bo odezwał się cieplej:

— Napiłbym się czegoś.

Gość w domu, bóg w domu. Przyniosłem pół litra żytniówki.

— Żytnia? — obruszył się. — Żytnia się ostatnio popsuła. Nie znajdzie się pliska?

— Nie. Zabrakło w delikatesach. Jak pan nie chce pić, to bez łaski.

Rozsiadł się na fotelu, dość niezgrabnie ujął kieliszek. Chciałem mu pomóc.

— Dziękuję. Wszędzie to brakoróbstwo. Zapomnieli o palcach.

Pół litra opróżniliśmy szybko. Zaproponowałem mu wypicie bruderszaftu. Zgodził się chętnie.

— Mów mi Bałwanku — oświadczył. — Nie mam jeszcze imienia i obawiam się, że mieć nie będę.

— A ty mi Człowieczku. Buzi!

Obudziłem się cały mokry. Nade mną stała żona i dzieci.

— No bałwan, kompletny bałwan — zawołała. Spił się jak bela.

Musiałem wyglądać nietęgo, bo żona przyprowadziła lekarza. Zbadał puls, stwierdził, że jestem osłabiony. Zapisał jakieś krople i zwolnienie z pracy.

Za oknem dalej pada śnieg. Połowica wyraźnie się zmieniła, pyta mnie czule:

— Człowieku, coś ty najlepszego narobił?

Kulturalnie. Prawie tak, jak mój szef. Tylko on zawsze dodaje:

— Malinowski to jest n a s z człowiek.

Pewnie, że wasz. Taki, który gotów jest wypić wódkę z każdym bałwanem. I który jeszcze tę wódkę p o s t a w i!

JAM

minuta myślenia

Wesoły Hitchcock alla Polacca

Z POCZĄTKU dziwiłem się: jak to, tylu mamy reporterów, tylu chętnych popularności felietonistów, a ta grupa pod wezwaniem wzięta jako całość nie wykrywa takiej w Polsce ilości sensacji co jeden, podpisujący się pseudonimem „Kibic"? Rozumiałbym, gdyby zadziałał tu przypadek. Zdarza się, że jednemu fortuna się uśmiechnie i da mu proch do kapiszonów, ale przecież nie więcej niż na jeden — trzy odcinki. Tymczasem z całej produkcji zawodowych łowców sensacji można tej substancji wycisnąć zaledwie dziesiątą część tego, czego dostarcza jeden „Kibic". Co za czepek przy urodzeniu, co za talent w męskim wieku, co za nos!

Nie można powiedzieć, że nie było w tym zazdrości również i z mojej strony. Ostatecznie jest się jakimś tam świadkiem wspólnej nam Polakom rzeczywistości, więc się samemu powinno widzieć te naładowane elektrycznością ekspresji wypadki zanim je opisze pióro wybrańca Muzy zwanej Sensacją. Tymczasem dla mnie co najwyżej ludzie wciskają się do przepełnionego trolejbusu, zatroskana o przyszłość rodziny małżonka odciąga swego życiowego partnera od budki z piwem, młodzieniec z włosami na ramionach przemknie przez jezdnię na żółtym świetle. Wszystko. Mój górny pułap. A gdzie przebrany za diabła listonosz wymuszający od staruszki paczkę z Ameryki w godzinie duchów? Gdzie zaopatrzeniowiec na delegacji po kontaktach z wesołym towarzystwem mieszanym chroniący swą nagość w basenie fontanny? Gdzie kontrzatrucie grzybami w małżeństwie, w którym oboje są właścicielami samochodów zagranicznych? Doszedłem do wniosku, że jestem zubożony w odbiorze rzeczywistości i pogodziwszy się ze zrządzeniem losu, już nie zazdrosnym, a tylko podziwiającym okiem czytałem felietony w „Kulisach" podpisane pseudonimem „Kibic".

Wyobraźcie więc sobie, jak pewnej pięknej niedzieli musiałem zadrwić z samego siebie, tak długo przez samego siebie utrzymywanego w łatwowierności. Do otrząśnięcia się przyczynił się sam „Kibic". Właśnie nadmiarem. Doszedłem do prostego, acz grubo spóźnionego wniosku, że nie jest możliwe, by rzeczywistość działa się na użytek jednego w Polsce felietonisty, by coś niezwykłego mogło się stać tylko o tyle, o ile kontakt z tym poznawczy zostanie zagwarantowany wyłącznie jednemu prasowemu sprawozdawcy, że nie ma takiej rzeczywistości, która by ścieliła się pod nogi jednemu reporterowi pożądaną przezeń łączką sensacji. Powtarzam: z tego błędu wyprowadził mnie sam „Kibic", nie powściągnąwszy swego Pegaza ani na jotę w hasaniu po błoniach wymienionej łączki.

A zatem skończyło się dawanie wiary, zaczęła się gra. Gra z jego strony polegająca na wymyślaniu co raz oryginalniejszych perypetii, z mojej na wyczekiwaniu: „a no, czym mnie teraz zaskoczysz". Ale muszę przyznać, że o ile hardo wznosiłem głowę przy zdemaskowaniu mistyfikacji, o tyle kornie musiałem ją skłonić przed pomysłowością, dowcipem, zaletami stylu tych felietonów, które przestawszy być obrazkami z życia nie straciły niczego jako odcinkowy, z użyciem innych bohaterów, ale wciąż ten sam comics na polskie tematy. To znaczy „oparty na motywach", polakopodobny. Bo przecież nie uznamy za całkiem zgodny z rzeczywistością np. faktu opisanego chociażby w felietonie „Dziad i towarzystwo", w którym jest mowa o tym, że Jan Ł. przeszedł karierę od klasztornego ucznia do cinkciarza zaznajomiwszy się pośrednio — zaraz, policzę — z dziesięcioma zawodami, że Stanisław H. (lat 13) podłożył petardę pod stolikiem w barze „Gospoda" chcąc zobaczyć Krystynę Z. uciekającą bez dolnej części garderoby itp. Natomiast wciąż widzimy niebywałą inwencję kryminalo-genną oraz dowcip Jerzego U., który nie zrażony zdemaskowaniem co tydzień wyświetla swoje cieszące się popularnością etiudy z polskiego pół przestępczego Disneylandu.

Dotąd w porządku, natomiast nie bardzo wiem, dlaczego Film Polski pokusił się o dosłowne tych felietonów wyświetlenie, to znaczy zaprezentowanie ich po przepisaniu z papieru na taśmę celuloidową. Zanadto zdecydowanie przeciw temu nie występuję, wiem że cierpiący na anemię tworzywa film sięga już po wszystko łącznie z brzytwą wydzierając ją z rąk tonącemu, ale dziwi mnie, co tu jest do rzucenia na ekran. Prawda życia — nie, bo „Kibic" kibicuje wyłącznie tym wydarzeniom, które nie miały miejsca. Także nie można powiedzieć, że daje acz umownie przesadny, to jednak jakoś adekwatny obraz naszego obyczaju. Zalety stylu felietonowego? Te są nie do sfilmowania, czyli w nowej formie przekazu zniknie najistotniejszy element rzeczy przekazywanej. Co więc przyświecało reżyserom (film składa się z siedmiu nowel opracowanych każda przez innego)?. Chęć wykorzystania passy? Niech będzie. Zgadzam się. Film nie może być gorszy od teatru.

Ale z pewnością jest gorszy od felietonów. Ten Hitchcock lepiej wychodzi w „Kulisach".

Ijon

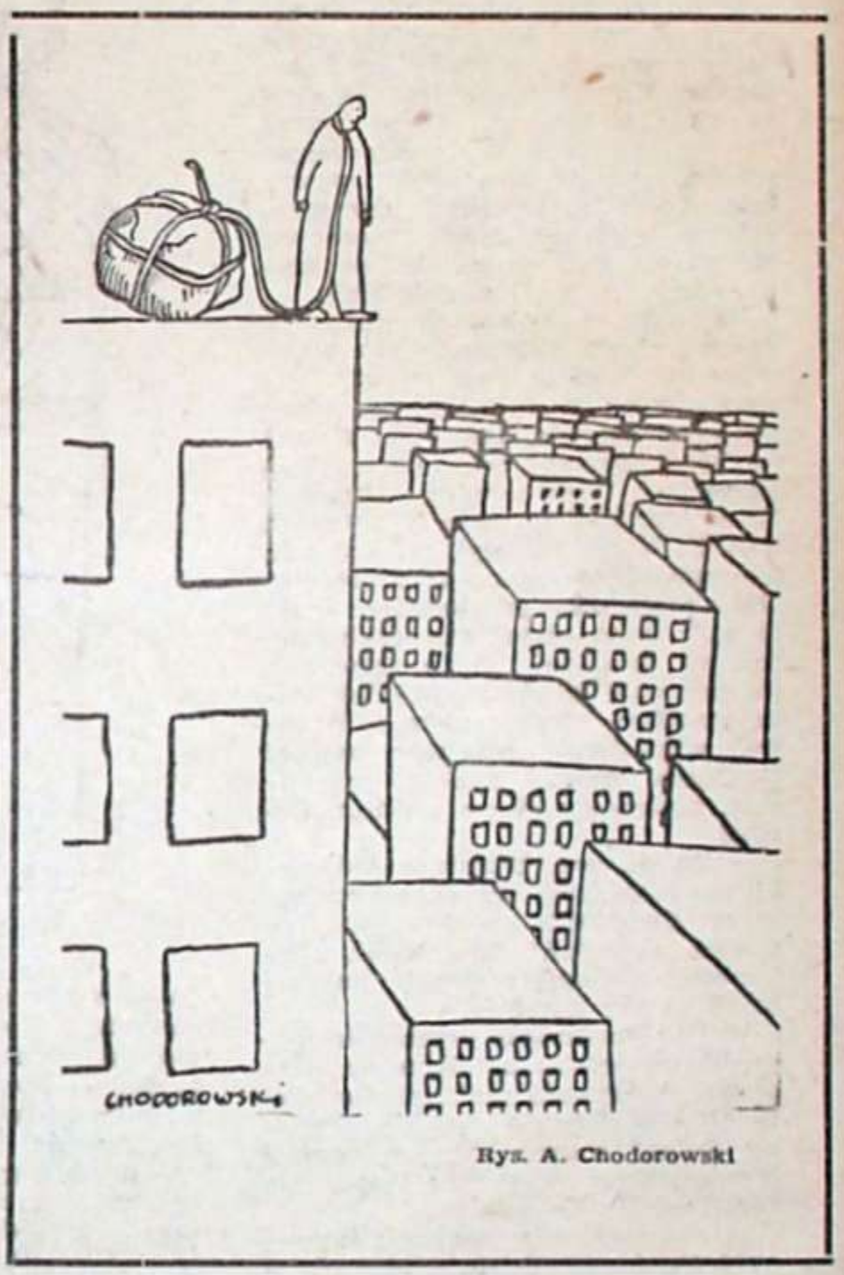

Rys. A. Chodorowski

bez tytułu

POWIEŚĆ CZYTELNIKÓW

(4)

— Rzeczywiście, za głośno rozmawiamy. — Ryszard Branntweiter, mąż, ojciec i głowa rodziny Branntweiterów, starał się pokazać, że jest tylko w miarę skonfundowany. — Zapomnieliśmy o twojej głowie. A mówiłem: nastaw sobie „Kobrę", od razu zaśniesz.

— We środę?

— Prawda, przepraszam po raz drugi. Widzisz, przekonywałem Jurka, że nosi za długie włosy i stąd trochę dyskusji na tematy obyczajowe. Ale z mojej strony już spokój. Niech ma te włosy jak, jak... No, Jurek, ten dramat Słowackiego.

— Antygona.

— Właśnie. Coś mnie ostatnio zawodzi pamięć

— Nie we wszystkim.

Ojciec spojrzał na syna tak, jakby to nie było spojrzenie, ale ostrzegawczy strzał pod nogi, jaki się spotyka w westernach.

— Moi drodzy — głos mamy Branntweiterowej wylał cysternę oliwy na rozkołysane fale. — Cieszę się, żeście doszli do porozumienia. Bądźcie tak samo wyrozumiali dla mojej migreny. Porozmawiajcie jeszcze o krawatach, a ja porozmawiam z tapczanem. Dobranoc.

Obaj odruchowo skłonili głowy nie spojrzawszy na siebie.

* * *

Ryszard Branntweiter idzie i myśli. Właściwie trochę sobie zarzuca, że tak późno zdobywa się na ten moment zastanowienia, ale pociesza się, że jeszcze wszystko da się załagodzić. Trzeba tylko dokładnie zanalizować sytuację. A więc:

1. Jurek wie o Elżbiecie. Skąd? Licho go wie, ale nie w tym rzecz. Można przypuszczać, że poza lekkim szantażykiem co do kieszonkowego nie zdyskontuje tej wiadomości praktycznie.

2. Elka jest rzeczywiście trochę za młoda. I właściwie jaki ma cel w utrzymywaniu znajomości z panem o dwadzieścia lat starszym? Czy mimo pozorów, które dodatnio mogą świadczyć o jej talencie aktorskim, nie powiela się tu przypadkiem wzorzec z „jeleniem"? Coś to zaczyna wyglądać prawdopodobnie. Jeśli nie teraz, to za rok.

3. A więc? Czy nie lepiej samemu zabiec drogę biegowi wypadków? Tak, bez krzyku, bez hałasu, ale trzeba się z tej Elki powoli wywikłać. Wtedy nawet rysujące się podejrzenia okażą się kulą w płot.

I już Ryszard Branntweiter ma na to sposób. Sposób szeleści mu kartką w lewej kieszeni marynarki. Jeszcze raz wyciąga kartkę i

— Cześć stary — słyszy głos Wiśniewskiego, tego wiecznego dowcipnisia (który dziw, że nie wylądował kiedyś na budowie Białomorskiego „Kanału") — co byś powiedział na małego roberka? Akurat jesteś czwarty, bo jest nas trzech.

— Widzisz, ja...

— Widzę, że ty, a nie papież koptyjski. No, ostatecznie 132 złote za pół litra winiaku mieszanego niech obciąży, a właściwie odciąży moją kieszeń. Powetuję to sobie z kartą w ręku.

— Nie mogę. Idę do... jak by to powiedzieć? Idę...

— Całe szczęście, że nie grozi ci to, co Halince ze statystyki. Ta też szła. Ale wcześniej zaszła niż wyszła. No to w piki. Czołem.

I dopiero teraz Branntweiter ma możność jeszcze raz przeczytać kartkę:

„Panie Ryszardzie, z pewnością dziwi się Pan czytając te słowa, ale musiałam je napisać. Mam Panu coś do powiedzenia. Może się Pan nawet domyśla? Chciałabym, bo to ułatwiłoby mi sytuację. Będę jutro w Regionalnej o piątej. Czy mogę tam na Pana czekać? Irma".

To jutro to właśnie dziś.

Irma! Nigdy by nie przypuszczał. Choć sam kiedyś pragnął. To była rezygnacja, a ona odczytała to jak intrygującą powściągliwość. Oto na co można je zawsze złapać!

Przeszedł ulicą na czerwonym świetle. Nawet po przejściu nie zauważył.

„Regionalna" była zapełniona, ale na szczęście nie jak trolejbus po godzinie 15. Tym razem z pobłażliwością popatrzył na wymodelowany prymityw ścian, który go denerwował jako świadectwo snobizmu projektodawcy — plastyka. I w tym momencie baranieje. Przy stoliku siedzi — jak nigdy dotąd — jego żona! Za późno na odwrót. Już zauważony. Zauważony, zdruzgotany, ścięty.

Ten stolik jest szafotem. Ryszard Branntweiter wywołuje na twarzy uśmiech taki, jak w telewizji Wojciech Zyms.

cdn.

Z nadesłanych tekstów wykorzystaliśmy propozycje Antoniego Wolańskiego z Puław i Melanii Ziółkowskiej z Lublina. Wszystkich czytelników prosimy o odcinek 5 w terminie do dnia 9.IV.1976 r.

DOLE I NIEDOLE DAWNEGO LUBLINA

Halina Kosienkowska

Od połowy XVII wieku daje się zauważyć w Polsce ogólny upadek miast. Maleje ich rola jako krajowych ośrodków handlowo — pieniężnych. Upada też zagraniczny handel kupców miejskich. H. Kołłątaj, publicysta wieku XVIII, do przyczyn utraty świetności przez miasta polskie zaliczył m. in. 1) zmiany traktu handlowego, 2) wzrost cła, 3) niesprawiedliwość prawa, 4) prześladowania innowierców, 5) najazdy i wojny. Uwagi te uzupełnić można wypowiedzią St. Staszica, który stwierdził z goryczą: *W Europie przemysł a u nas kamienice puste, zrujnowane, brudne i wszędzie gnoju pełne, bo trzeba sprawiedliwości, bezpieczeństwa i wolności.* Proces upadku miast zachodzący w całym kraju nie ominął i Lublina. Miasto nie leżało już na szlaku handlowym, w tym czasie Puławy nabrały tego znaczenia — Wisła stała się drogą spławu zboża. Przestały odbywać się istniejące w XV i XVI wieku jarmarki lubelskie, w związku z czym zanikł też i handel. Masto wyludniło się z wielkiej liczby kupców, nieliczni tylko osiedlili się w nim na stałe. Żałośnie przedstawiał się wygląd Lublina w początkach panowania Stanisława Augusta. O jego dawnej świetności świadczyły tylko ruiny. Pisał o tym W. Kamiński w „Przypadkach lubelskich": *Że miasto Lublin w czasach wzrastającej Rzeczpospolitej Polskiej było większym, to niektóre ślady w gruzach ogromnych gmachów dowodzą tego. Na końcu ulicy Krakowskiej, a tym samym miasta, stoi jeszcze zrujnowany pałac z niektórymi sztukateriami, w którym mieszkał król w czasie unii Litwy z Koroną Polską. Za miastem na Czechowie i w innych okolicach można jeszcze oglądać zwaliska pałaców. Stan sanitarny miasta w tym okresie znajdował się na bardzo niskim poziomie. Z pamiętników K. Koźmiana dowiadujemy się, że gród trybunalski posiadał tylko dwie apteki: pojezuicką i prywatną Niemca Sztoka, szarlatana i pijaka. Autor „Przypadków lubelskich" przekazał potomnym opis lekarza lubelskiego, wystarczający w zupełności do wyobrażenia sobie poziomu medycyny naszego miasta w owych czasach.*

A wtem zdybałem jakiegoś człowieka
W koszałce babie przebierającego...,
W peruce wielkiej, na bok przekrzywionej,
W sukni bławatnej kitajki mieszanej,
O której kupcy lubelscy to gloszą,
Iż za Karola Wielkiego robiona.
Lecz w sukni nie jak zwykle teraz noszą,
Bo kamizela do kolan spuszczona,
Fraku rękawy, by mnichów co proszą,
Szpada w furdiament wielkie opatrzona,
Na łakci ze dwa wisząca u boku,
Niskie ubiory szerokie dla kroku.
Gdym chciał zapytać, co to za stworzenie?
Zdybałem kmiecia jadącego z trawą,
Który mi powie: „Czyż samo spojrzenie
nie uczy? Że to lekarz zawołany,
Tak między gminem, jako między Pany.
Zowie się Pan Jan. Trza wielkie mozoły
Z nim użyć, aby człowiek radę otrzymał
Będąc w słabości.
Pan Jan jest lekarz jakich na świat rzadko
Oraz aptekarz zapisze i wyda
Z wydarzeń przykrych wymyka się gładko.

Pracowali wprawdzie w Lublinie lekarze o wysokich kwalifikacjach, tacy jak: Włoch, Michał Bergonzoni, absolwent uniwersytetu bolońskiego i Niemiec, Jan Niepomucen Herrman, który ukończył uniwersytet w Pradze. Byli oni jednak na pewno bezsilni w swych staraniach wobec tego, co działo się w mieście. J. D. Ochocki pisał: *Przejeżdzałem Kazimierz* (przedmieście Krakowa), *który mi przypominał Żydowszczyznę pod Lublinem z Grodzką ulicą, również brudną i natkaną bucharami* Słowa K. Koźmiana wzbogacają ten opis: *To przedmieście żydowskie, złożone z kamienic spalonych i z karczem zajezdnych drewnianych tonęło w błocie, kałużach i śmieciach, które niechlujstwo tego ludu w ogromnych kupach jako starożytną spuściznę zachowało i powiększyło. Prócz rynku żadna ulica lubelska nie znała bruku. Od ulicy pojezuickiej nie można było dostać się suchą nogą do ratusza, trzeba się było na koniu babrać i zabryzgiwać, bo pojazdem dla kałów i bojaźni wywrotu, puszczać się było niebezpiecznie.* Nic więc dziwnego, że jadący w roku 1781 do Wiśniowca król Stanisław August *nim się dobrał do ratusza, z landarą uwiązł w błocie przed bramą świętoduską, że go nawet cugi marszałka Olizara wyciągnąć nie mogły, aż zaprzęgano woły.* W takiej sytuacji choroby nigdy nie wygasały i Lublin był stałym miejscem pobytu ospy, świerzbu i chorób wenerycznych. Dokładnie stan sanitarny miasta, w okresie przed powstaniem Komisji Dobrego Porządku, przedstawił dr M. Bergonzoni w swoim dziele „Lublin według ustaw medyki uważany w jednej dysertacji" z roku 1782. Zajął się w tym utworze m. in. analizą przyczyn chorób panujących w środowisku lubelskim. Zaliczył do nich przede wszystkim: położenie miasta nad nigdy nie wysychającymi rzekami, oddalenie od lasów i wystawienie na niezdrowy wiatr południowy, wilgotne powietrze pochodzące z bagnistych łąk, dym wydobywający się z ziemianek handlarzy mięsa i jarzyn, brak kanałów podziemnych. Za źródło chorób uznał dr Bergonzoni także szpital Panien Miłosierdzia, cmentarz przy kościele Św. Michała, małe, wilgotne mieszkania, gdzie ludzie przebywali razem z inwentarzem oraz brudną wodą w studniach, cuchnące kałuże wielkości stawów i ulice zalane błotem. Niełatwo było żyć w takich warunkach. Każdy wychodząc z domu narażony był na zabłocenie, obryzganie błotem i kąpiel w kałuży. *Żadna ulica nie miała latarni, ledwie przed ratuszem dwie się tylko paliły. Idący pieszo ubożsi nosili latarki ze świeczkami, lub nimi posługiwali. Noszono buty safianowe, żółte, czerwone lub zielone, a trzeba było w nich po błocie deptać i suknie jedwabne zaszargać. Za pojazdami zwykle stawało dwóch lokajów lub hajduków z zapalonymi pochodniami, przed pieszymi służący niósł płonącą pochodnię...* Było to jedyne światło, które rozjaśniało mrok uliczny. Szczęście mieli mieszkańcy Lublina, że pochodnie nie powodowały pożarów, bo nie było w mieście ani policji, ani straży ognia, ani nawet narzędzi do gaszenia czerwonego kura. Zmiany na lepsze nastąpiły dopiero w latach osiemdziesiątych, kiedy to zaczęła działać Komisja Dobrego Porządku z K. Hryniewieckim jako prezesem komisji.

Działalność komisji spowodowała ożywienie życia publicznego, co wpłynęło na ogólny poziom oświaty i kultury. Powoli uporządkowano gospodarkę finansową Lublina i od roku 1817 rozpoczęto systematyczne prace budowlane — powstało wiele gmachów publicznych, utworzono nowe centrum na Krakowskim Przedmieściu i nowo zbudowanym Placu Litewskim, pałace przebudowano na gmachy publiczne, wybrukowano ulice, oświetlono je latarniami, wyznaczono place targowe i obsadzono topolami aleje wylotowe. Wszechstronna rozbudowa spowodowała rozwój życia gospodarczego miasta. Na zmiany te nie pozostał obojętny J.U. Niemcewicz, który miał okazję kilkakrotnie przejeżdżać przez Lublin. Swoje wrażenia umieścił w „Podróżach historycznych po ziemiach polskich". W 1811 roku pisał wprawdzie, że z zamku mieszczącego kiedyś liczny dwór pozostały tylko *poły potrzaskanych murów a w całym mieście panują pustka i spokój.* Ze smutkiem stwierdził, że *tam gdzie Zygmunt August u nóg swych odbierał hołd książęcia pruskiego, nędza i cichość.* Za jedyne zjawisko pozytywne uznał pisarz fakt założenia fabryki saletry, bo to oznaczało, że nie ogarnęła mieszkańców Lublina zupełna martwota. W 1816 roku widział jeszcze J. U. Niemcewicz prawie to samo, co przed pięcioma laty: *Lublin niewiele się zmienił,* z rozwalin zamku *brał... cegłę, kto chciał, dziś sam rząd rozbiera ostatki wapiennych kamieni na robienie drogi za miastem.* Wprawdzie sprzątnięto już szczątki wielu pałaców, ale nie było jarmarków, w kościołach znajdowały się składy wojskowe, w rynku stały opuszczone kamienice bez okien.

Krakowskie Przedmieście w pocz. XIX w. Obraz M. Zalewskiego.

Podobnie stan Lublina w tym samym roku ocenił ppłk Jabłonowski. *Ulice nieczyste, wprawdzie chędożą je teraz więcej, jak kiedykolwiek, a niebrukowane gruzem zawożą, co jednak idzie opieszale. Kilkanaście domów i kościołów zrujnowanych, z których niektóre bliskim zawaleniem grożą. Co się tyczy burmistrza J. P. Finke i policji miejscowej, w tym widać niedbalstwo i nieczynność. Kradzieże ustawiczne, przeciw którym wojskowi nie są nawet bezpieczni. W mieście znajduje się wiele włóczęgów, których policja nie śledzi, a surowych kar nie naznacza na kupujących rozmaite rzeczy od podejrzanych ludzi.* Już jednak w 1820 roku J. U. Niemcewicz pisał, że Lublin jest o wiele czyściejszy i porządniejszy niż za dawnych *naszych i austriackich czasów, a kościół i klasztor pojezuicki, znakomity z okazałości swojej, przerobionym jest na katedrę lubelską.* W okresie tym rozkwitało również życie kulturalne i organizacyjne, zaczęło tworzyć się środowisko inteligencji miejskiej. Ze względu na osiągnięcia gospodarcze, społeczne i kulturalne Lublin zajął czołowe miejsce w Królestwie (poza Warszawą) i stawał się powoli centrum naszego regionu. Miasto zyskało wreszcie znowu znaczenie w historii kraju, kształtując się już od końca XVIII wieku.

HOROSKOPY

Ważne od 4 do 18 kwietnia

BARAN
21 III—18 IV

To spotkanie może mieć nieoczekiwane następstwa, a sprawa przybrać taki obrót, jakiego się nie spodziewasz. Decyzja, jaką podejmiesz, przyniesie pewien zwrot w twoim życiu. Dlatego dobrze pomyśl, pośpiech nie jest wcale wskazany. W połowie kwietnia zawrzesz interesującą znajomość, ale to jeszcze nie będzie tym, na co czekasz.

BYK
19 IV—20 V

I znów sprawy nie układają się zbyt pomyślnie, częściowo z twojej winy. Przeanalizuj swoje postępowanie, w przyszłości możesz czuć żal do siebie, że nie wykorzystałeś tej szansy, choć propozycja, z którą się spotkasz, wygląda na pierwszy rzut oka niezbyt ponętnie.

BLIŹNIĘTA
21 V—20VI

Sam(a) widzisz, że ta stara znajomość jednak jest najlepsza. Po tylu smutnych raczej doświadczeniach wracasz do punktu wyjścia. Staraj się nie zaprzepaścić szansy, jaka się przed tobą ponownie otworzyła. Jeśli udało ci się już zmienić miejsce pracy, nie powtarzaj starych błędów.

RAK
21 VI—22 VII

Czeka na ciebie wiele nowych wrażeń, choć początkowo bardzo trudno będzie ci przyzwyczaić do nowego otoczenia. Twój niepokój o sprawy domowe jest nieuzasadniony. Wszystko układa się dobrze, więc podejrzenia, które cię nurtują, tylko mogą irytować drugą stronę. Po co macie się wzajemnie denerwować?

LEW
23 VII—22 VIII

Więcej z twej strony czułości i teraz sam(a) widzisz, że to się opłaciło. Uczyń teraz wszystko, aby ten stan utrwalić. Obowiązki zawodowe nie powinny tak bardzo, jak to było poprzednio, kolidować z obowiązkami domowymi. Często zresztą z tych obowiązków zawodowych tworzyłeś(aś) parawan. Druga strona już się zorientowała, jak jest w istocie. Pamiętaj o tym!

PANNA
23 VIII—22 IX

Nadal niezbyt energicznie przystępujesz do nauki. Marnujesz niepotrzebnie wiele cennego czasu, potem będziesz tego żałować. Należy też pilniej zająć się domem, musisz zrozumieć, że druga strona zaczęła się już irytować. Perspektywa wyjazdu na urlop coraz bliższa, przestań jednak zawracać sobie głowę drobiazgami.

WAGA
23 IX—22 X

Masz ostatnio szczęście do zawierania nowych znajomości, pamiętaj jednak, że nie warto rozmieniać się na drobne. Druga dekada kwietnia będzie dla ciebie bardzo pomyślna. Być może, dojdzie wreszcie do skutku ten wyjazd, o którym tak marzysz. Nie spodziewaj się jednak po nim zbyt wiele.

SKORPION
23 X—21 XI

Czeka ciebie teraz nieco więcej pracy. Wykorzystaj ten okres, by bardziej zjednać sobie ludzi. Nie patrz na wszystko pod kątem osobistych korzyści. Warto też chyba bardziej zadbać o zdrowie, niezbyt je ostatnio szanujesz.

STRZELEC
22 XI—21 XII

Mówi się, że pośpiech jest dobry tylko przy łapaniu pcheł. Działasz teraz z większym namysłem i, jak widzisz, tego nie żałujesz. Sprawy finansowe ułożyły ci się pomyślniej, szanuj jednak bardziej pieniądze, bo do niczego w życiu nie dojdziesz. Pierwsza dekada kwietnia będzie dla ciebie szczególnie pomyślna.

KOZIOROŻEC
22 XII—20 I

Nie pragniesz tej wizyty, ale nie ma innego wyjścia: musisz serdecznie przyjąć gości. Bądź co bądź to twoja rodzina, chociaż ma zupełnie inny pogląd na życie niż ty. Nie okazuj jej swego lekceważenia, może ci się ona przydać w przyszłości i poratować w kłopotach.

WODNIK
21 I—18 II

Jeśli będziesz się usilnie starać, to twój wyjazd dojdzie do skutku, chociaż sprawa bynajmniej nie jest wcale taka prosta. Czekają cię teraz nieco trudniejsze dni, bo będziesz bardziej zdany(a) na własne siły. Na pewno sobie poradzisz.

RYBY
19 II—20 III

Cieszy ciebie nowa znajomość. Nareszcie możesz się z kimś podzielić swoimi myślami. Okaż nieco zaufania, bądź jednak ostrożny(a), bacznie obserwuj zachowanie drugiej strony. No i pamiętaj o swoich poprzednich doświadczeniach, które nie zawsze przecież były najlepsze. Pewne kłopoty możesz mieć ze strony dalszej rodziny. Musisz być bardziej tolerancyjny(a). Twoje zniecierpliwienie nie jest na miejscu. Czy zresztą sprawa, o którą toczy się spór, warta jest takiego zaangażowania? Warto się nad tym poważnie zastanowić.

Stella

ODPOWIEDZI STELLI:

Zygmunt B. z Krasnegostawu. Dziękuję za serdeczne słowa i bardzo się cieszę, że horoskop w stosunku do Ciebie sprawdził się całkowicie. Kiedy wrócisz z podróży do domu, bardziej serdecznie odnoś się do swojej dziewczyny. Poprzednie zajście nie powinno się już powtórzyć.

Alina R. z Bydgoszczy. Trudno tutaj cokolwiek radzić, bo przecież nie ma żadnych reguł. Za mało zresztą szczegółów w Twoim liście. Ludzie urodzeni pod znakiem Strzelca mają teraz dobry okres, ale, jak zwykle, są przecież pewne wyjątki. Pamiętaj o tym!

Jadwiga B. z Chełma. Chłopak urodził się pod znakiem Lwa w piątek, trzynastego. Jak w tej piosence, prawda? Nie bądź jednak przesądna. Słusznie może Cię jednak martwić jego zbytnie zainteresowanie dziewczętami. Może w tym jest i trochę Twojej winy?

Kamena str. 13

kultura 1976

MUZYKA

● Jak już pisaliśmy, z okazji otwarcia muzeum K. Szymanowskiego w zakopiańskiej „Atmie" przebywał w naszym kraju znakomity baletmistrz Lifar, który poznał Szymanowskiego przed 40 laty, wystawiając „Harnasie" w operze paryskiej. Na propozycję Teatru Wielkiego w Warszawie Lifar zobowiązał się wystawić w naszej stolicy jeden ze swoich baletów. Dodajmy, że Lifar to nie tylko znakomity tancerz, ale także autor 25 książek na temat teorii estetyki tańca.

● Wydarzeniem w Londynie stało się wystawienie baletowej wersji „Miesiąca na wsi" Turgieniewa w choreografii 71-letniego już Frederica Ashtona, który potrafi wyrażać w tańcu najsubtelniejsze odcienie ludzkich uczuć. Asthon powiedział, że o wystawieniu tego baletu marzył od czterdziestu lat, ale nie mógł się zdecydować na wybór muzyki. Przez długi czas myślał o Czajkowskim, ostatecznie zdecydował się na Chopina. Balet wystawiono w Covent Garden.

● 68-letni dyrygent Herbert von Karajan znajduje się w szpitalu w związku z komplikacjami układu nerwowego. Zdaniem wielu specjalistów oznacza to kres kariery znakomitego dyrygenta, który przez całe życie pracował niezwykle intensywnie. Ostatnio równocześnie dyrygował filharmonią w Berlinie Zachodnim, był doradcą La Scali, występował w Paryżu i Salzburgu oraz opracowywał muzykę do telewizyjnych filmów oświatowych.

NOWOŚCI

● W maju ma się ukazać nakładem „Czytelnika" nowa powieść Zofii Bystrzyckiej pt. „Kontuzja". Jak wyznała autorka, jest to relacja z kilkunastu dramatycznych dni jej życia, ale ową relację pisała ona trzy lata. Ponadto Bystrzycka zadebiutuje w nowej dziedzinie — przerobiła na serial telewizyjny swój debiut powieściowy pt. „Samotność".

● Jan Łysakowski pracuje w kombinacie „Siarkopol" w Tarnobrzegu, a jednocześnie zawodowo trudni się pisarstwem. Największy rozgłos przyniosła mu trzytomowa powieść „Żołnierze", „Partyzanci", „Kowale". Obecnie pisze powieść o trzydziestoletnich dziejach rodziny robotniczej, która ma być analizą procesów, zachodzących w obrębie wielkoprzemysłowej klasy robotniczej.

● Z nowych pozycji wydanych przez „Iskry" warto zaproponować przede wszystkim „Baśnie udokumentowane" Krzysztofa Kąkolewskiego, utwory z pogranicza reportażu i opowiadań. Stefan Kozicki jest autorem „Delegacji do czyśćca", a książka Olgierda Budrewicza „Świat dozwolony od lat 18" to reportaże o młodzieży z czterech kontynentów.

OPINIE

● „Przewrót naukowo-techniczny propagandyści nasi lubią ilustrować obrazami wielkich placów budowy lub wizerunkiem maszyn-mastodontów, które za jednym zamachem czerpaka wykonują dzieło, jakie niedawno temu wymagało pracy setki ludzi w ciągu wielu tygodni (...) Sedno problemu w tym, iż kraj nasz osiągnął już w latach siedemdziesiątych taki szczebel rozwoju przemysłowego, na którym warunkiem podstawowym utrzymania tempa dalszego rozwoju staje się logarytmiczne potęgowanie skutków materialnych wysiłku rąk i umysłów. Nie suma zatem elementów fizycznych, lecz istota mechanizmu, nowa, szczególna jego jakość ma znaczenie". (Janusz Ratajczak — „Życie Literackie" nr 12).

● „Elementarna świadomość historii, ograniczona do wiedzy szkolnej nie wystarcza społeczeństwu; trzeba ją zatem podsycać, a w tym pożytecznym dziele pomocny mógłby być i film historyczny. Mógłby, ale na ogół nie jest. W tym gatunku idzie nam niesporo: obrazy historii, jakie się nam zazwyczaj przedstawia, nie mają w sobie nic z żywego myślenia, dramatyzmu, wizji przeszłości. Powstałe dla odtrąbienia kalendarzowych jubileuszy, poddane batalistycznym ehuciom, kostiumowe rewie strojów i przebrań nie służą ani wiedzy, ani naszej kulturze. I całe szczęście, że ta sunąca lokomotywa „tantiemo-gigantów" została powstrzymana: obecnie w planach znajduje się tylko jedna superprodukcja". (Krzysztof Mętrak — Kultura" nr 12).

● „Powstanie nowych 49 województw było postępem, niemniej spotęgowało „patriotyzm lokalny". Teraz każde województwo chce mieć własny teatr, własną szkołę wyższą, operę... W Słupsku na przykład są dwa większe przedsiębiorstwa i tamtejsi dyrektorzy orzekli, że musi być u nich lotnisko. Każde województwo domaga się wielkich przedsiębiorstw. Dawniej w planowaniu stosowano zasadę równomiernego rozmieszczania produkcji. (Prof. dr Henryk Kryński — „Student" nr 6).

TEATR

● O Państwowym Teatrze Lalki „Tęcza" w Słupsku warto napisać kilka słów nie tylko dlatego, że jako jeden z pierwszych teatrów lalkowych w Polsce obchodzi 30-lecie istnienia. Przede wszystkim jednak dlatego, że narodził się w prywatnym mieszkaniu państwa Elżbiety i Tadeusza Czaplińskich. Pomyślany początkowo jako rozrywka dla dzieci najbliższych przyjaciół i znajomych, stał się z czasem placówką rzetelnej pracy kulturalnej, zyskując najpierw poparcie władz miejskich, a następnie państwowych. Obecnie posiada już własny gmach. Rok jubileuszowy „Tęcza" rozpoczęła spektaklem „Tajemnice czarnego jeziora" według tekstu Katarzyny Borysowej, a w reżyserii swojej współzałożycielki Elżbiety Czaplińskiej.

● Znawcy powiadają, że Nowy Sącz od 115 lat prowadzi stały flirt z Melpomeną. Zaczęło się od pobytu Heleny Modrzejewskiej, która założyła tu pierwszy zespół amatorski pod patronatem Nowosądeckiego Towarzystwa Sceny Narodowej. Natomiast od 55 lat istnieje, także amatorski, Teatr Robotniczy w Domu Kultury Kolejarza. Główna działalność skupia się na scenie dramatycznej, ale istnieją jeszcze teatr i zespół estradowy, a raz w roku przygotowuje się specjalny spektakl dla dzieci. Przed kilku laty głośna była w całym kraju nowosądecka inscenizacja „Dziadów".

CZTERDZIESTOPIĘCIOLETNIE DZIECKO TEATRU

Henryk Łabuński. Reprodukcja portretu Piotra Bednarskiego.

ZNAMY się od wielu lat ze sceny i z widowni, a także sąsiedzkich spotkań i rozmówek na różne tematy. Gdy jednak przyszło zaproszenie na premierę musicalu Jana Tomaszewskiego „Wielka Aleja" z okazji „jubileuszu 45-lecia pracy artystycznej Henryka Łabuńskiego" — trudno było w to 45-lecie pracy uwierzyć. Czyżby ten świetny śpiewak operetkowy, pełen werwy i młodzieńczej ruchliwości, którego wejście na scenę lub estradę zawsze wywołuje na sali charakterystyczny, pełen życzliwości i podziwu szmerek wśród publiczności, czyżby występował już 45 lat?

Okazuje się, że właściwie to więcej, bo w rodzinnym Wilnie rodzice, a zwłaszcza ojciec śpiewał w różnych chórach i zespołach amatorskich. Tak zaczął i mały Henryk, potem zaś już jako solista z gitarą śpiewał romanse, gwizdał tak pięknie, że go nazywano słowikiem, a szczególnym powodzeniem cieszyła się specjalnie dla niego ułożona piosenka „Zoja" — pieśń murzyńska, którą dzisiaj nazwalibyśmy protest-songiem przeciw niewolnictwu. Malował się wtedy na murzyna i to były pierwsze lekcje samocharakteryzacji.

Gdy Łabuński śpiewał w amatorskiej rewii „Kolejarze, kolejarze", na jego głos i aparycję zwrócił uwagę dyrektor nowo powstałego w Wilnie teatru muzycznego „Lutnia", Zbigniew Śmiałowski, ojciec Igora. I tak zaczęła się kariera zawodowa — był rok 1931.

— W tych czasach aktorzy — wspomina pan Łabuński — zwłaszcza młodzi nie tylko grali, ale robili także wiele innych czynności. Ja np. podnosiłem i opuszczałem kurtynę, pełniłem funkcje jakby administratora. No bo wtedy, proszę pana, występowało się nie dla pensji, jak dzisiaj, ale z prawdziwego umiłowania teatru, w ogóle sztuki. Żyło się nie tyle z teatru, ile dla teatru, dla sceny, dla publiczności.

Po występach w sezonie 1936/37 w warszawskiej rewii przy ul. Karowej oraz w Teatrze Narodowym u Schillera, wrócił Łabuński do Wilna. Natychmiast po uwolnieniu miasta w 1944 roku kolektyw aktorski wystawił „Króla włóczęgów", a w następnym roku, po zakończeniu wojny, cały „pociąg teatralny" dojechał do Torunia. Łabuński przez 11 lat występował potem w Operetce Łódzkiej, początkowo znanej pod nazwą „Lutnia", której był współzałożycielem.

— Z Lublinem zetknąłem się w sierpniu 1955 roku — mówi — nasz zespół występował wtedy w Teatrze Osterwy ze sztuką „Bohater z romansu" z muzyką Oskara Straussa i słowami G. B. Shawa. Publiczność przyjęła mnie bardzo gorąco, a gdy jeszcze zobaczyłem tutejsze jeziora, po prostu zakochałem się w Lublinie. Gdy więc w następnym roku Tadeusz Wołowski jako dyrektor artystyczny odbudowywał lubelską operetkę, natychmiast przyjąłem jego propozycję. Debiutowałem tu w „Swobodnym wietrze" Dunajewskiego, operetce, która przeszła do historii teatralnej Lublina.

I tak od dwudziestu lat — z jednoroczną przerwą na powrót do Łodzi — podziwiamy Henryka Łabuńskiego w naszym Teatrze Muzycznym. Grał tu chyba we wszystkich operetkach i musicalach, wcielając się w najróżniejsze postacie, a zawsze będąc sobą. To znaczy znakomitym śpiewakiem i aktorem, a za kulisami i na próbach często asystentem reżysera, a także życzliwym dla młodszych kolegą i nauczycielem. Od 27 lat pracuje również w ruchu amatorskim, ostatnio prowadząc zespół przy Zakładach Mięsnych w Lublinie. Wynajdując we własnym archiwum teksty i nuty starych piosenek, śpiewa je często na różnych estradach, w radio, Teatrze Rozrywki.

— Jestem dzieckiem teatru — wyznaje — i teatr to moje prawie całe życie. Prawie, bo jest jeszcze wędkarstwo, szczególnie upodobałem sobie jezioro Rogóźno. Mój rekord to szczupak wagi 10,5 kg, ale podobno jestem specjalistą od łowienia płoci głębinowych i leszczy.

— Gra pan tyle rozmaitych ról...

— Dla aktora, który kocha teatr, nie jest ważne, jaką otrzymuje rolę, ważne jest to, aby być dobrym. Trzeba nie tyle grać rolę, ile być w roli, żyć nią. W dużych można się wykazać, ale duża rola rozwija się z upływem akcji i jest czas na jej ulepszenie, w roli epizodycznej trzeba być natychmiast dobrym. Publiczność to życzliwy, ale i surowy krytyk.

Henryk Łabuński publiczność lubelską podbił całkowicie. No więc do następnego jubileuszu! Wszystkiego najlepszego!

* * *

Premiera „Wielkiej Alei" połączona z jubileuszem Henryka Łabuńskiego odbyła się 27 marca w Międzynarodowym Dniu Teatru. W dniu tym władze wojewódzkie podejmowały świat aktorski w sali kolumnowej Urzędu Wojewódzkiego. W Teatrze Osterwy wystąpił Teatr im. Leninowskiego Komsomołu Białorusi z Brześcia ze spektaklem „Mieszczanie" Gorkiego. Teatr Lalki i Aktora wystawił widowisko muzyczne dla najmłodszych „Przygody pingwina Pik-Poka" z tekstem A. Bahdaja i muzyką J. Derfla.

(dost)

noty i notki

Jeszcze w sierpniu — jak doniósł dopiero teraz „Czas" (nr 12) — odbył się w Karkonoszach tygodniowy plener fotograficzny, a w styczniu otwarto w Katowicach wystawę poplenerową, która w zastępstwie krakowskiej Venus ma objechać kraj. Rzecz w tym, że był to plener aktu (kobiecego), w którym drobiazgowo wylicza tygodnik wzięło udział dwudziestu fotografów, czterech teoretyków i krytyków fotografii, 30 kamer i 77 różnych obiektów, od szerokokątnych poczynając, a na długoogniskowych kończąc. No i jedna, powtarzam — jedna modelka, która potem oświadczyła, że była „nie tylko ucieszona, ale nawet zaszczycona", bo „taki świat, świat sztuki i tylu panów... Ja nie patrzę na nich tylko jak na fotografów" dzięki czemu znalazła potwierdzenie swojej kobiecości. Ciekawi mnie, ile razy potwierdzała swoją kobiecość...

●

W poniedziałek 15 marca prasa doniosła o wyjeździe grupy naszych kolarzy do Włoch (tych na Półwyspie Apenińskim). „Sztandar Ludu" i „Kurier Lubelski" dodały, że w składzie znajduje się również jeden z kolarzy lubelskich. Natomiast „Życie Warszawy" wymieniając wszystkich, nazwiska kolarza lubelskiego nie podało, „Trybuna Ludu" zaś w tej samej wiadomości na początku jego nazwiska też nie podała, ale pod koniec tak. Oto co znaczy dokładna informacja. Całe szczęście, że fakt nie posiada wagi państwowej.

●

„Retrospektywny przegląd dorobku naszej kinematografii również wykazuje — twierdzi w „itd" (nr 12) niejaki pan Aleksander Kołpak — że najwartościowsze były obrazy nastawione na ukazanie prawdy, głównie ponadczasowej, uwzględniające wszechzwiązek zjawisk i pryncypia agresywnie penetrujące historię, mające do tego charakter instrumentalny, gdyż podają gotowe wzory do naśladowania". Osobiście myślę, że młody człowiek — bo chyba tylko tacy piszą w „itd" — powinien przede wszystkim uwzględnić wszechzwiązek pomiędzy zrozumiałym językiem polskim a najprostszymi zasadami logiki.

●

Z okazji napisania 125 felietonów w „Kulisach" Krzysztof Mętrak (nr 12) wyznał, że u całego pomysłu (pisania tych felietonów — przyp. JOD) stały kobiety", czyli dwie redaktorki (panie redaktor?) rzeczonych „Kulis". No i teraz niezwykłe odkrycie, po czterech latach pisania owych felietonów. Felietony te, zdaniem autora, są „jak czajnik, reagujący na to, co nowe, nie rozwinięte jeszcze w pełni, a już odciskające swoje piętno na współczesnej umysłowości". Ja mam nawet dwa czajniki, każdy reaguje jednak tylko na ciepło, a jeżeli odciskają swoje piętno, to parząc mi skórę.

●

Od trzech tygodni daremnie poszukuję w Lublinie chociażby jednego kawałka mydła do golenia — wszędzie polecają mi tylko krem, zresztą w użyciu kilkakrotnie droższy. Ale chyba się zdecyduję, bo właśnie przeczytałem we wrocławskich „Wiadomościach" (nr 12), że w starożytnym Rzymie zarost usuwano rozpalonymi skorupami orzechów.

●

Bardzo słuszny apel wystosował niejaki KAR w „Głosie Nauczycielskim (nr 12), wzywając, aby do Polaków mówić i pisać po polsku. Autor wyznał zarazem, że w „Głosie" również „cierpimy na frazesomanię" itp. Felieton ten ukazał się na ostatniej stronie. Wielka szkoda, że do apelu nie zastosowali się autorzy, których teksty zamieszczono na jedenastu poprzednich stronach.

●

Jak ujawniły ostatnio „Kultura" i „Literatura", zeszłoroczny festiwal w Sopocie kosztował osiem milionów złotych, natomiast wpływy wyniosły tylko dwa i pół. Nie będę bladał, bo ostatecznie są jakieś efekty propagandowe i wpływy, które później zaksięguje się na inne konto. Ale dlaczego sprowadza się np. dosyć miernego piosenkarza nazwiskiem Sacha Distel za 340 tysięcy złotych — tego już nie rozumiem. Ponadto wątpię, czy Distel przyjął całe honorarium w naszych złotówkach. Wygląda na to, że Pagart ma w ogóle za dużo pieniędzy, w tym dewiz także.

JOD

Poczta literacka

R. S. Toruń. Przyznam się, że pańskie wiersze budzą we mnie przekorę. Nie chcę takich. Nie jestem pewien, czy treści, jakie widzę w poszczególnych sformułowaniach zgadzają się z intencją ich autora. Co mogę sobie pomyśleć czytając „to nagi człowiek namaluję /krainę/ wyszczerbionych sów z gipsu", albo „lepiej posiadać igliwie /niż na szczudłach /kraść/ bukiety lakierowanej boazerii"? Boję się pomyśleć cokolwiek, bo nie mam pewności, czy jako czytelnik spełnię pańskie życzenie. Owszem, mogę na fali tej „rozpiętości skojarzeń" dowolnie sobie pofantazjować, ale nie chciałbym, żeby treść wiersza została skazana na moją zwodniczą domyślność. I sądzę, że taki czytelnik, który oczekuje wieloznaczności, a nie różnoznaczności, powinien być autorowi bardziej cenny od bezkrytycznego klakiera cmokającego nad „energią twórczej inwencji" i „kondensacją słowa".

J. B. Z. Luboń k. Poznania. To samo. Prościej to w poezji zawsze znaczy celniej. Poza tym odrzuciłbym jeszcze pretensję o brak pierwiastka lirycznego. Wydaje się, że cały wysiłek wkłada Pan w napinanie metafory (nie zawsze udanej), przez co utwór traci wartość jako środek wyznania osobistego. Zdarza się to nawet w wierszach, w których występuje „ja", w których autor mówi o sobie. Dlaczego samego siebie traktuje Pan tak zimno? Czytelnik lubi być powiernikiem, świadkiem zwierzania, a nawet zdemaskowania się autora. Trzeba go na tę przynętę złapać.

R. M. Michów. Sęk w tym, że nie można doradzić, jak należy „przechodzić do wierszy współczesnych". Rodzaj poetycki musi wynikać z wewnętrznych skłonności piszącego, a nie z potrzeby zastosowania się do mody. Zresztą takiej potrzeby nie ma. Sam grający czuje, na jakim instrumencie wypowiada się najlepiej, jaki mu najlepiej leży w dłoniach. Mimo wszechwładzy w dzisiejszej praktyce wzorca — jak nazwać — awangardowego, postawangardowego, czy — również mało precyzyjnie — współczesnego, jest paru poetów w Polsce, którzy nie zrezygnowali ze stylu klarownego, nie ponosząc przez to szkody artystycznej. Np. Joanna Kulmowa, Stanisław Skonieczny, Stanisław Nedza-Kubiniec. Rzecz w tym, by mówić od siebie. A nie jest powiedziane od Pani np. to: „Spróbuj się z czarnych myśli jak z sieci wyplątać", albo: „Popatrz, słońce złociste wysyła promienie". Zaręczam Pani: nie to chciała Pani powiedzieć. Chciała Pani coś więcej, coś, co znalazłoby się przy niepowtarzalnie (każda jest niepowtarzalna) przeżytej chwili nadając jej własne imię, odrębną indywidualność, a powtórzyła Pani nic nie znaczący zwrot. Nic nie znaczący, bo zawsze, kiedy się trzeba „wyplątać", to z jakiejś „sieci", a „złociste promienie słońca" pojawiają się wtedy, kiedy o słońcu nie ma się nic do powiedzenia. I próżno liczyć, że sama zmiana poetyki to „załatwi". Wiersz napisany na modłę „współczesną" co najwyżej zamaskuje brak wyobraźni. Nic więcej! Nie chodzi o to, by ukryć niedostatek, ale o to, by ujawnić zasobność.

E. M. Lublin. Gdybyż jakość wiersza zależała od szlachetności zawartych w nim myśli. Ale nawet o szlachetności nie potrzeba tu mówić. Potępienie hitleryzmu z jego obozami koncentracyjnymi jest zrozumiałe samo przez się. W dodatku lepiej kiedyś o tym pisano. Nie chciałem Panu sprawić przykrości, z pewnością codzienny widok Majdanka musi u Pana wzbudzać te refleksje, ale wiersz nie jest udany. Byłoby nawet nieposzanowaniem pamięci pomordowanych uznać go za wyraz ich cierpienia.

Z. R. T. Lublin. Wprawdzie „kryminał" nie jest rodzajem literackim, który nas interesuje szczególnie, ale też nie możemy odmówić gotowości do zapoznania się z wymienionymi tekstami. Zaznaczam tylko, że mam niejakie wątpliwości, czy 18-letni autor to właśnie ten najodpowiedniejszy do opowiadania sensacyjnego, ale jeśli będę musiał zmienić zdanie, z tym większą przyjemnością o tym Pana powiadomię.

B. B. Lublin. Obciąża mnie Pan zbyt wielką odpowiedzialnością (jeśli oczywiście mam serio przyjąć Pani słowa) Przepraszam, umywam ręce. Nie dlatego, że nie widzę żadnego argumentu na rzecz dalszego uprawiania poezji w nadesłanych wierszach, ale dlatego, że mój — jak wszystkie w tym przedmiocie — bardzo względny sąd nie może być wytyczną czyjegoś życiowego programu. A Sądu Ostatecznego Poezji w ogóle nie ma. To tyle dla mojego wykrętu. Co do wierszy — owszem, jest w nich pewna świeżość doznania i myśli, wyrazu i obszaru, jeśli Pani chodzi o zasygnalizowanie „cienia nadziei", czynię to niniejszym nawet dwa razy i wcale nie widzę powodów do tak niepewnej miny. A to dopiero początki. Cóż na to poradzę, że się Pani tak późna urodziła. W każdym razie optymizmem napawa mnie to, co może trochę szumnie można by nazwać Pani artystyczną samowiedzą. Wyczuwam, że mimo wszystkich wyrażonych wątpliwości Pani wie, co pisze, co to jest pisanie, po co się pisze. Resztę zostawmy przyszłości. Nawet chyba tej nie bardzo dalekiej.

Andrzej Z., J. A. G. Kielce. D. J. Gdańsk-Wrzeszcz. J. W. Lublin. M. B. Nowy Sącz. D. M. Ostrołęka. B. F. Błonie. J. C. Biłgoraj. M. K. Bydgoszcz — nie skorzystamy.

Szyfrogram (nr 7)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsca liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment noweli współczesnego pisarza polskiego, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 20 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między słowami.

Wyrazy pomocnicze

11. 70. 36. 148. 16 — Polacy nie gęsi, a swój mają,
3. 57. 68. 102. 37. 14 — dawna rosyjska miara długości,
32. 19. 109. 27. 101 — parada, przegląd,
1. 40. 35. 143 — tworzą szkielet ryby,
8. 39. 46. 21. 41. 59. 121 — mocarze,
6. 93. 20. 42. 17 — uprawna roślina strączkowa,
5. 28. 23. 110. 54 — przedstawiciel, stały pośrednik,
22. 45. 25. 34. 140 — pies myśliwski,
9. 119. 13. 53. 129 — wielkie państwo w Azji,
38. 56. 29. 51. 60. 30. 62. 66. 151 — ten, który popełnił przestępstwo,
15. 95. 50. 61. 79. 26. 100 — sędzia polubowny,
47. 73. 43. 97. 85 — rzemieślnik robiący buty,
4. 124. 65. 75 — sposób kładzenia belek w budownictwie drewnianym,
2. 113. 69. 10. 103 49 — opasły tom,
18. 48. 133. 63 — miasto w woj. radomskim,
12. 78. 80. 131. 55. 107 — po ukończeniu 65 lat,
52. 74. 90. 138. 92. 86. 136 — eksplozja,
128. 139. 118. 105 — myśl przewodnia,
31. 98. 106. 141. 127 — żałobna tkanina,
33. 67. 81. 116. 83. 91 — sąsiad Angoli i Rodezji,
122. 58. 76. 132. 114. — ptak używany dawniej w myśliwstwie,
147. 134. 71. 117. 87. 135 — potężna siła przyrody,
104. 120. 111. 94. 89 — pokrywa,
96. 130. 99. 125. 144 — np. jabłka,
123. 137. 108. 149. 64. 115 — silne przejęcie się czymś,
82. 77. 84. 142. 150 — brunatne plamki na skórze ludzkiej,
145. 88. 7. 24 — piorun,
112. 72. 146. 44. 128 — człowiek w statystyce.

1	2	3	4	5	6	7	■	8	9	10	■	11	12	13	14
15	16	■	17	18	19	20	21	22	23	24	■	25	26	■	27
28	29	30	31	■	32	33	34	35	36	37	38	39	40	41	42
43	■	44	45	46	■	47	48	49	50	51	52	53	54	55	■
56	■	57	58	59	60	61	62	63	64	65	66	67	■	68	69
70	■	71	■	72	73	74	75	76	77	78	■	79	80	81	82
83	84	■	85	86	87	88	89	90	91	■	92	93	94	95	96
97	98	■	99	100	101	102	■	103	104	105	106	107	108	109	110
111	■	112	113	114	115	116	117	118	119	120	121	■	122	123	124
125	126	■	127	128	129	■	130	131	132	133	134	135	136	■	137
138	■	139	140	141	142	143	144	145	146	■	147	148	149	150	151

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-951 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 5 był fragment z noweli Mikołaja Gogola „Szynel":

„Do tej właśnie znacznej osobistości zgłosił się pan Akakiusz — i zgłosił się bardzo nie w porę: w chwili najmniej przyjaznej dla siebie, acz wielce przyjemnej dla znacznej osobistości".

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 5 cztery bony książkowe po 40 zł każdy, wylosowali: Helena Cieplińska, 02-380 Warszawa, ul. Białobrzeska 10 m. 2; Bohdan Bisikiewicz, 50-218 Wrocław, ul. Pomorska 8 m. 30; Tadeusz Jarząbski, 15-395 Białystok, ul. Czarna 8; Bronisław Józefaciuk, 20-037 Lublin, Al. Racławickie 24 m. 73.

listy do kamery

„O GASTRONOMII INACZEJ"

Artykuł „O gastronomii inaczej" („Kamena" nr 3) przeczytałam z dużym zainteresowaniem, gdyż jestem długoletnim pracownikiem zakładów gastronomicznych, a niezależnie od tego miło mi bardzo, że tak poczytne i poważne pismo jak „Kamena" wyróżniło zakład „Maleńki", którym właśnie kieruję. Pozwalam sobie na kilka uwag nawiązujących do treści publikacji.

Uważam, że kontrole są potrzebne i pożyteczne. Ogromną rolę odgrywa tu nie tylko treść, ale i forma kontroli, inaczej mówiąc jej kultura. Kontroli ani krytyki chyba nikt nie lubi, stąd przy każdej kontroli wyłaniają się trudne, często konfliktowe sytuacje: bo nikt nie pracuje idealnie, szczególnie w gastronomii, gdzie naprawdę warunki są bardzo ciężkie, a przepisów chyba jak nigdzie. Wobec takiej sytuacji uważam, że kontrolerzy powinni być przede wszystkim dobrymi, doświadczonymi fachowcami, znającymi doskonale swój fach i zawód. Bo winni to być również ludzie taktowni, o dużej kulturze osobistej. Powinni oni umieć nie tylko znaleźć błędy i usterki, ale jeśli zajdzie potrzeba, nauczyć, pokazać, poinstruować.

Tymczasem w kontroli pracują często ludzie niedoświadczeni. Uwagi takich kontrolerów wobec mistrza są naprawdę żenujące. Dlatego też postuluję, by do kontroli dobierać ludzi, którzy rzeczywiście tym trudnym zadaniom podołają. Niezależnie od tego uważam, że w każdej kontroli wewnętrznej powinien brać udział czynnik społeczny, co zapewni jej w dużym stopniu walor obiektywizmu. Był kiedyś taki zwyczaj, że do kontroli typowano np. dobrych szefów czy kucharzy, którzy społecznie kontrolowali. Te kontrole, o ile pamiętam, cieszyły się dużym autorytetem.

Uważam, że dobra i ofiarna praca nas wszystkich oraz takie kontrole na pewno pomogą wydźwignąć naszą gastronomię na znacznie wyższy poziom, czego od nas na pewno oczekują nasi konsumenci — bo oni według mnie są naszymi najlepszymi i najważniejszymi kontrolerami.

Maria Stolarczuk
kierowniczka bistra „Maleńki"
Lublin

„PRAWIE RÓŻANA"

W odpowiedzi na krytyczną publikację zamieszczoną w „Kamenie" nr 25 z ub. roku pt. „Prawie Różana", dotyczącą złego zaopatrzenia baru uniwersalnego „Switezianka" podległego GS „SCh" w Siennicy Różanej, informujemy o reakcji WZGS „SCh" w Chełmie na opisany stan rzeczy.

Po ukazaniu się notatki prasowej zakład gastronomiczny został dwukrotnie wizytowany przez inspektorów branżowych naszego Związku, w których wyniku ustalono szereg nieprawidłowości. Ustalono również, że opisana sytuacja wynikła na skutek niedopełnienia obowiązków służbowych przez kierownika zakładu.

Biorąc powyższe pod uwagę, Zarząd WZGS „SCh" w Chełmie pismem z 23 II 1976 r. wydał szereg zaleceń zabezpieczających poprawę działalności zakładu gastronomicznego z terminem realizacji do 20 III br. — oraz wystąpił o wyciągnięcie wniosków służbowych w stosunku do winnych takiego stanu rzeczy. Zobowiązano także kierownika zakładu do zwrócenia większej uwagi na pracę podległego personelu. Za brak nadzoru Wiceprezesowi d/s Handlu i Gastronomii GS „SCh" w Siennicy Różanej udzielono wytknięcia służbowego.

Jednocześnie informujemy, że w wyniku naszej interwencji nastąpiła znaczna poprawa na odcinku zaopatrzenia, sporządzania i aktualności jadłospisów.

Wiceprezes Zarządu
WZGS „SCh"
d/s Handlu i Gastronomii
mgr inż. J. Sokołowski
Chełm

„HECA HECĄ..."

Jedni uczą nas, że przysłowia są skarbnicą mądrości i że mądrość ta jest niezawodna. Inni uważają, że przysłowia są mądrością narodu do czasu, kiedy naród nie weźmie się do nauki. Niezależnie od tego, komu przyznamy rację, musimy stwierdzić, że obyczaj układania różnego rodzaju przypowieści trwa nadal i jest zjawiskiem powszechnym. W różnych sytuacjach powstają różne aforyzmy. Ich twórcami są dzieci, młodzież i dorośli. Już kilkuletnie Kasie i Czarusie są autorami „mądrości", którymi zachwycają się dorośli i hojnie powielają je na łamach czasopismem.

W powtarzaniu przysłowiowych bredni uczestniczy tygodnik „Przekrój". W rubryce „Heca hecą" wyczytałem następujące powiedzonka:

— Nie bądź wapniak, bo cię zgaszę.
— Chłuśniem bo uśniem.
— No to chlup w ten głupi dziób.

Drukowanie tego rodzaju rzeczy jest hecą dość ponurą.

Mamy bardzo dużo przysłów. Słuszymy je w pracy, w autobusie, na ulicy. Zawarta w nich „mądrość" nie zawsze napawa jednak zbytnim optymizmem. Oto sytuacja, która potwierdza to spostrzeżenie:

Pijany mężczyzna przepycha się do autobusu, wycierając swoje robocze ubranie o jasny płaszcz kobiety.

— Niech pan się o mnie nie wyciera — protestuje kobieta.

— Patrzcie, pani się znalazła! Panowie wyjechali do Londynu — replikuje mężczyzna.

Stanisław Wiktor Sterlus
Kodeniec

ZMIANY W KIEROWNICTWIE „UNII"

W związku z listem dyr. nacz. hotelu „Unia" w Lublinie, Józefa Cnoty, zamieszczonym w 1 numerze „Kameny" z br., przebywający na okolicznościowym urlopie red. Tadeusz Jasiński nadesłał do redakcji pismo, w którym wyjaśnia swoje stanowisko wobec spraw poruszonych przez J. Cnotę. Nie publikujemy tej korespondencji, ponieważ niedawno, decyzją Dyrekcji Zjednoczenia Gospodarki Turystycznej w Warszawie, dyrektor J. Cnota i jego zastępca w hotelu „Unia", Stanisław Karczmarczyk, zostali odwołani ze stanowisk. Dyrektorem naczelnym „Uni" został Wiesław Moskaluk, poprzednio dyrektor hotelu „Victoria" w Lublinie.

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechczye-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:
— do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do dnia 10 miesiąca, poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 78,—

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH".

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN Unicka 4. Zam. 821. 18.03.76 r.

Numer łamał: Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Eugeniusz Kurędy

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1 — Nr indeksu: 36231

Telefony: sekretariat, sekretarz redakcji i naczelny redaktor 255-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

„Stalowa Laubzega Pozłacana" dla LSPBWKdS

Zainicjowany dwa lata temu przez naszą redakcję konkurs „Stalowa Laubzega Pozłacana" na budowę pierwszego w Lublinie wielkopłytowego karmnika dla sikorek — został wczoraj rozstrzygnięty. 138-osobowa komisja oceniła trzy oddane w terminie do użytku karmniki. Podczas oględzin okazało się, że dwie inwestycje są rozdziobywane przez nachalne kruki i wrony, nie szanujące specjalistycznych form zbiorowego żywienia ptactwa. Toteż nagrodzono trzeci karmnik, którego konstruktorzy wpadli na świetny pomysł technologiczny, aby przy inwestycji zainstalować dozorcę, odpędzającego kruki i wrony, a dopuszczającego jedynie sikorki — zgodnie z przeznaczeniem karmnika. Laureatami są budowniczowie z LSPBWKdS (Lubelskiego Specjalistycznego Przedsiębiorstwa Budowy Wielkopłytowych Karmników dla Sikorek), których uhonorowano wysokimi premiami pieniężnymi oraz skierowaniami na wczasy rodzinne do krajów bałkańskich. Gratulujemy!

(pimlwl)

Nareszcie wiosna. Mieszkańcy jednej z wiosek w woj. zamojskim obserwują przylot ptaków z południa. Przy okazji ostrzegamy: bariera może się zatamać!

Fot. J. Becki

Niebezpieczna inwazja

Wskutek znacznych postępów wiosny pokazały się w Lublinie pierwsze muchy, atakując szczególnie placówki handlowe. Odpowiednio przeszkolony personel sklepów ze zdwojonym wysiłkiem przystąpił do zwalczania plagi. Niestety — jak wynika z naszego zwidu reporterskiego — wiele ekspedientek posługuje się zeszłorocznymi lepami, które są już w znacznym stopniu zagospodarowane przez muchy z ubiegłego sezonu, toteż dla dużej części nowych owadów brak po prostu miejsca. Sądzimy, iż zużyte lepy należy wpierw odprasować, a następnie pokryć je powłoką dżemu truskawkowego z domieszką butaprenu, wtedy dopiero spełnią swe odpowiedzialne zadania.

(prmrwr)

wiele jest TAKICH SPRAW

35-letni Bronisław Z. założył kożuch odwrócony włosiem na zewnątrz, twarz obciągnął czarną pończochą, głowę przykrył abażurem od nocnej lampy i tak ubrany, trzymając w ręku kuchenny nóż, sterroryzował w biały dzień personel oraz klientów sklepu papierniczego w śródmieściu Lublina. Zuchwalec brutalnie odtrącił kasjerkę, która chciała mu wręczyć dotychczasowy utarg, i przytłumionym, groźnym głosem zażądał 20 kg jakiego bądź papieru. Przerażone ekspedientki oddały mu wszystkie stare pudła tekturowe, wybrakowane kajety i notesy. Pochwyciwszy łup, rabuś oddalił się w nieznanym kierunku, który to kierunek — dzięki sprawności milicji — rychło stał się znany, zaś niebezpieczny przestępca ujęty. Na pytanie sądu, czy papier był mu potrzebny do celów toaletowych, oskarżony odpowiedział przecząco. Wyjaśnił natomiast, iż chciał zdobyć makulaturę, którą jego nieletnie dzieci muszą dostarczać do szkoły. Opisana wyżej sprawa jest przestrogą dla tych, co tanim kosztem chcieliby się wykpić z pożytecznej akcji zainicjowanej przez nasze szkoły. Czyżby rodzice nie wiedzieli, że miejskie wysypisko śmieci w Jawidzu pełne makulatury i wystarczy nieco dobrych chęci?

(V)

MOJE PÓŁ GROSZA

Tym razem nie będę pisał o kwestiach zasadniczych, to jest o tym, jak zgubiłem dwa i pół grosza, o dziurze w płocie, soplach zwisających z dachu czy o konkursie pt. Wybieramy najchudszego brojlera. Pozwolę sobie natomiast napisać o pewnym marginesowym incydencie, który przeżyłem w Warszawie. Siedząc mianowicie w kawiarni Stolica, spotkałem znajomego literata ze stołecznego Areopagu. Pozwoliłem się człowiekowi wygadać i oto, co usłyszałem: Ten idiota, tamten dureń, proza powinna być autentyczna, poezja skomplikowana... Słuchasz takiego, jak wyrokuje o świecie i ludziach, klasyków cytuje, i myślisz — geniusz! A kiedy przeczytasz, co on pisze, to widzisz — karzeł! I otóż przyszła mi pewna refleksja — na szczęście w Lublinie brak takich twórców. Inaczej musielibyśmy popaść w jakieś prowincjonalne kompleksy. A ja bardzo nie lubię, gdy się u nas mówi o prowincjonalizmie.

Ł. Gont

OKRUCHY ZE ŚWIATA

W pewnym kraju zachodnim (nazwę podamy po przetłumaczeniu) zatrudniono małpy w charakterze niianiek. Eksperyment zdał egzamin na piątkę. Niemowlęta bardzo chwalą sobie tę innowację.

Z nowości medycyny. Lekarze włoscy o nieustalonych bliżej nazwiskach odkryli krople, które po wpuszczeniu do oka zwiększają ostrość widzenia. Producenci win wyrażają nadzieję, że nowy preparat wybitnie wpłynie na zwiększenie ich produkcji.

CZWARTEK 1 KWIETNIA

kur lubelski

WYDANIE SPECJALNE

1976 CENA 3 ZŁOTE

UWAGA CZYTELNICY DZIŚ W PDT „SEZAM" PAPIER TOALETOWY

W jutrzejszym numerze dodatek studencki „Kompromitacje".

TEGO JESZCZE NIE BYŁO

Nasze typy Toto-Lotka

Na życzenie naszych Czytelników wprowadzamy nową rubrykę: „Nasze typy Toto-Lotka". Na najbliższą niedzielę typujemy: pierwsze losowanie — 1, 7, 8, 9, 29, 34 i 3 dodatkowa; drugie losowanie — 30, 32, 34, 41, 45, 47.

Z notatnika reportera

● W Bączkowicach zawaliła się psia buda wskutek zbyt intensywnego merdania ogonem jej mieszkańca. Ofiar w ludziach brak.

Z OSTATNIEJ CHWILI

● W Lublinie ostatniej nocy rozpadł się jedyny wielkopłytowy karmnik dla sikorek, przygniatając dwa te pożyteczne ptaki. Przyczyny wypadku nie są jeszcze znane.

● W Biedronkowie portier tamtejszej spółdzielni zasnął z głową złożoną na włączonej do sieci maszynce elektrycznej. Obudził się natychmiast, gdy tylko elektrow-

Bank Wczasów

Od rolnika A. B. Z. C. otrzymaliśmy ofertę na gruszę. Wprawdzie nie spał pod nią Kościuszko, ani nie jest Maćkowa, ale ten niedobór łatwo da się wyrównać odpowiednio podniesioną opłatą.

OGŁOSZENIA drobne

Posiadam drzwi do szafy jednodrzwiowej, fabrycznie nowe. Oczekuję propozycji. Oferty: Biuro Ogłoszeń Karpia 13.

W taksówce zgubiono 28 ub. m. biustonosz numer 6. Uczciwy kierowca lub inny uczciwy znalazca proszony jest o osobiste skontaktowanie się z poszkodowaną pod adresem Szeroka 278, pierwsze piętro po prawej stronie, dzwonić sześć razy.

Pogotowie seksualne. Tel. 777-66, wewn. 71. Dzwonić do skutku.

Restauracja „Europa" zaprasza wieczorami miłe panie na tańce etc. Krany z bieżącą wodą czynne.

Poszukuję Zdrowia i Przyjaciółki z roku 1975. Oferty: Biuro Ogłoszeń, ul. Karpia 13, pod „Cudzysłów".

Znalazca nożyczek proszony jest o odniesienie takowych do redakcji. Brak wyżej wymienionego narzędzia uniemożliwia redagowanie rubryki „Nożycami przez prasę" i niektórych innych również.

Na śmigus-dyngus najlepsza

SPORT

Po siedemdziesiątej ósmej zmianie na stanowisku trenera nasze sokoły piłkarskie trenują pięć razy w ciągu dnia, a nie piją nawet do pół litra na głowę dbając przy tym o naukę szkolną i pracę w fabryce. Najbliższe niedzielne spotkanie sokoły rozegrają na wyjeździe. Od rezultatu tego meczu zależy nie tylko najbliższe samopoczucie i zdrowie społeczności lubelskiej, ale również dalsza pomyślność naszego miasta i okolic. Dwa specjalne pociągi lubelskich kibiców wyruszają już w sobotę, aby miłośnicy piłkarstwa mogli towarzyszyć sokołom w ich zmaganiach. Przy okazji informujemy kibiców iż wzajemne podgryzanie sobie gardeł i wypijanie mózgów grozi ciężkimi zatruciami alkoholowymi. Przypominamy również, że w poniedziałek można by się stawić do pracy.

(pkmkwk)

W zawodach na kontynencie euroazjatyckim jakiś Polak ustanowił rekord świata. Zdaje się, że w którejś z konkurencji lekkoatletycznych.

(x)

Gdzieś ustanowiono rekord świata w jakiejś konkurencji.

(e)

PRZYPOMINAMY

...DZIŚ W CZWARTEK

1 kwietnia
(92 dzień roku)
słońce wzeszło i zaszło
Imienin nie obchodzą
Lesław i Jerzy

MAKSYMA:

Ta, która cnotę chowa na potem, nie wie, że potem będzie kłopotem.

Tomasz Lec

PRZYSŁOWIA

Z dużej chmury mały deszcz,
choć nie stwierdził tego wieszcz

Góra urodziła mysz,
z czego wyszedł masz i misz

Nie pchaj palca między drzwi —
Lepiej zanuć do re mi.

CZY WIECIE, ŻE,

... nie nie wiecie?

PLEBISCYT NA MĘŻCZYZNĘ JEDNEJ NOCY

Na ogłoszony przez naszą redakcję „Plebiscyt na mężczyznę jednej nocy" napłynęło 7834 zgłoszeń — 7 tysięcy ze strony czytelniczek i 834 ze strony czytelników. Po